NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 988·— Marek, Półrocznie 1976·— Mk. Rocznie 3952·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 20 Mp na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 30·—, za wiersz petit. w części redakcyjn. 50 Mp. — Zamiejscowe o 50%, zagraniczne o 100% drożej.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. [illegible]

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

W Warszawie do nabycia wszędzie. „Promień", Łódz, Piotrkowska 81.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 80 Marek.

Rok XIX. Kraków, 8 kwietnia 1922. Nr. 14.

Zuchwały napad bandycki w centrum Warszawy

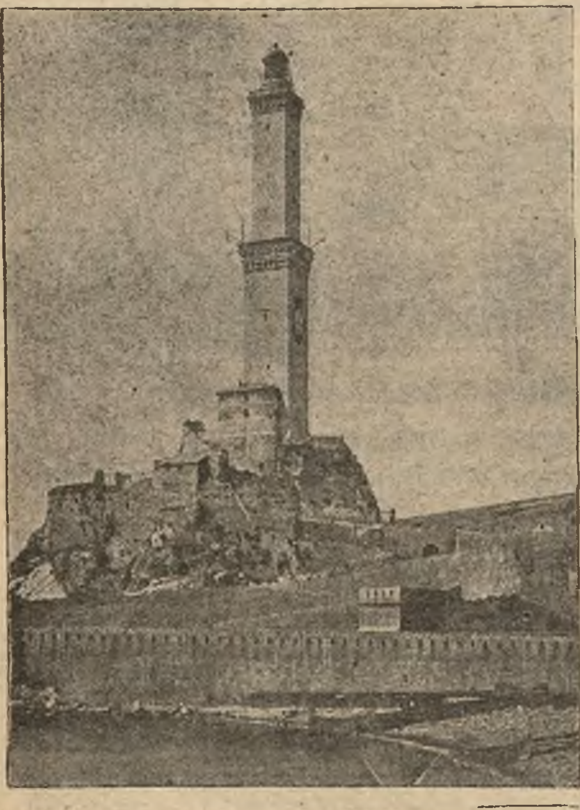


Korzystając z chwilowej nieuwagi bandytów, Borkowski, zerwawszy krępujące go więzy, usiłuje się dostać do okna, by wołać o ratunek.

Zuchwały napad bandycki w centrum Warszawy.

(Do illustracyi tytułowej).

Plaga bandytyzmu przybiera u nas kształty coraz bardziej zastraszające. Śmiało powiedzieć można, że nikt nie jest pewnym swego życia i mienia i to nie tylko podczas podróży lub gdzieś w jakiejś zapadłej okolicy, ale nawet w tak ruchliwej czę-



Przed konferencyą genueńską: Latarnia morska u wjazdu do portu genueńskiego.

ści wielkiego miasta, jaką jest Stare Miasto w Warszawie.

W ubiegłym tygodniu zdarzył się tam wypadek zuchwałego napadu bandyckiego na mieszkanie „cudownego doktora", krawca, Jana Marcina Borkowskiego w Rynku Starego Miasta l. 18. Około godz. 10 rano, gdy w mieszkaniu była tylko córka Borkowskiego, Marya Kurowska, przyszedł jakiś mężczyzna, podając się za pacyenta. Po pewnym czasie przyszło jeszcze dwóch mężczyzn, którzy również pragnęli widzieć się z „panem doktorem", jak go szumnie nazywano.

Około godz. 11-ej przyszedł Borkowski i najpierw poprosił do swego gabinetu pierwszego mężczyznę. Po chwili weszli tam pozostali oczekujący „pacyenci", jeden przez wejście prowadzące z przedpokoju, drugi przez drzwi z poczekalni. Wyjąwszy rewolwery, bandyci z okrzykiem „ręce do góry, milczeć i nie ruszać się" rzucili się na Borkowskiego, Kurowską i pacyenta, związali im ręce i nogi przyniesionemi z sobą sznurkami, twarz zaś ręcznikami.

Przedtem Borkowski oddał bandytom klucze, mówiąc, aby nie niszczyli mebli. Bandyci odpowiedzieli napadniętemu temi słowy: „wziąć to dobrze, ale czy my stąd wyjdziemy". Słowa te dodały napadniętemu znachorowi nieco otuchy i odwagi. W czasie, gdy bandyci wiązali Kurowską, Borkowski, siedząc na krześle w odległości dwóch kroków od okna wychodzącego na podwórze, silnem szarpnięciem nogami zerwał krępujące go sznurki. Gdy jeden z opryszków stał z wymierzonemi do napadniętych dwoma rewolwerami, a drugi wyszedł do



Przed konferencyą genueńską: Pomnik Krzysztofa Kolumba na jednym z placów genueńskich.

przedpokoju w celu zamknięcia drzwi, wówczas Borkowski zerwał się z krzesła i mimo, że nic nie widział, gdyż twarz miał owiązaną ręcznikiem, uderzył głową z taką siłą, że wybił dwie szyby w oknie i zaczął krzyczeć „ratunku", „pomocy", ale tak niewyraźnie, że syn właściciela domu, mieszkającego o piętro niżej, Józef Maj, student, oświadczył, że znachor musiał dać jakieś silne lekarstwo pacyentowi, który zwaryował. Lecz piorąca tam bieliznę dozorczyni domu, Julia Całka, oświadczyła, że to pewnie napad, wybiegła na ulicę i zauważywszy szybko oddalającego się mężczyznę z rewolwerem w ręku, wszczęła alarm. Nadbiegł posterunkowy II. komisaryatu, Edward Kupir, który schwytał opryszka podającego się za Zygmunta Domagalskiego. W kieszeni znaleziono przy nim drugi rewolwer. Drugi opryszek uciekł w ul. Kamienne Schodki na Bugaj.

Z zachowania się bandytów wnosić należy, że musieli to być debiutanci w złodziejskim fachu i tej okoliczności zawdzięcza rodzina Borkowskiego swe ocalenie.



Przed konferencyą genueńską: Castello Mackenzie w Genui.

Przed konferencyą genueńską.

Oczy całego świata skierowane są w stronę Genui, gdzie w dniu 10 kwietnia b. r. ma rozpocząć obrady międzynarodowa konferencyą, której głównym punktem programu jest odbudowa Europy. W obradach wezmą oficyalny udział także Niemcy, wystąpi też po raz pierwszy delegacya sowieckiej Rosyi, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej natomiast wstrzymują się od jej obesłania.

Co do programu obrad to ustalono go podobno na zjeździe Lloyd'a George'a z Poincarem, następnie zaś na spotkaniu się ministrów spraw zagranicznych Anglii, Francyi i Włoch i, jak słychać, drogą różnych wzajemnych ustępstw doprowadzono do porozumienia, które jednak nie wydaje się zbyt silnem, zwłaszcza jeśli się zważy na głosy prasy francuskiej, wyrażającej się bardzo sceptycznie o całem przedsięwzięciu i to także w organach półurzędowych, zatem inspirowanych przez rząd francuski.

Na szczególniejszą uwagę zasługuje oświadczenie paryskiego *Temps'a*, który powiada zupełnie otwarcie:

„W każdem z państw, o których mowa (Polska, Rumunia, Czechy, królestwo Serbów, Horwatów i Słoweńców) rząd przygotowałby program reform administracyjnych i finansowych. Plan ten musiałby być w każdem państwie zatwierdzony przez Parlament. Państwa otrzymywałyby kredyt tylko w miarę wykonywania tych planów reformy. Przy każdym rządzie byłby mianowany doradca finansowy przez państwa zainteresowane w odbudowie tego kraju. Pożyczki byłyby udzielane tylko na podstawie przychylnej opinii tego doradcy, ten ostatni nadzorowałby użytkowanie pożyczek i mógłby nakazać użycie ekspertów zagranicznych dla reorganizacyi pewnych działów gospodarki państwowej (zwłaszcza kolei i poboru podatków). Państwa podlegające tym przepisom musiałyby wziąć na siebie pewne zobowiązania, dałyby naprzykład zastawy dla zapewnienia pożyczek, a zastawy te byłyby administrowane przez instytucye już istniejące (monopol w Serbi) lub też na nowo powołane do życia. Państwa te zobowiązałyby się do usunięcia tego wszystkiego, co szkodziłoby interesom zagranicznym i przyjęłyby na siebie tę część długów państw, których są następcami. Gdyby te państwa nie wypełniały swych zobowiązań wstrzymanoby im kredyty".

Jest to poniekąd ostrzeżenie i to to tem poważniejsze, że wystowane przez francuski organ półurzędowy, a skierowane pod adresem tych państw,



Minister pracy w Zagłębiu Dąbrowskiem i Krakowie: Minister pracy i opieki społecznej Ludwik Darowski.

które najbardziej interesowane są w sprawie odbudowy, grozi im bowiem najzupełniejsza utrata samodzielności ekonomicznej, częściowo także i politycznej, a to nie na korzyść któregoś z państw, zajmujących się odbudową zniszczonych okolic, lecz międzynarodowej finansyery. Taki doradca finansowy, a zarazem i kontrolor, jakiego przewiduje program genueński, stałby się właściwie dyktatorem, który znalazłby zawsze sposobność prz prowadzenia swych planów, niejednokrotnie nic z odbudową wspólnego nie mających. Niemniej ciekawy będzie stosunek, jaki zajmie konferencya wobec Rosyi sowieckiej, której mocarstwa europejskie rzekomo nie uznają, a przecież się z nią liczą, każde zaś z nich chciałoby jej odbudowę przyjąć tylko na siebie, aby w ten sposób módz wyzyskać jej przyrodzone skarby, których gospodarka sowiecka dotychczas zniszczyć nie zdołała.

Jak z oświadczenia ministra Skirmunta wynika, delegacya polska na konferencyę genueńską działać będzie w ścisłem porozumieniu z rządem francuskim, pozatem na podstawie wytycznych otrzymanych na zjazdach w Belgradzie, Bukareszcie, Warszawie i Rydze. W skład delegacyi polskiej wchodzą między innymi: Minister Skirmunt, a z nim w charakterze pomocniczym p. August Zaleski, Strassburger, Jodko, Wielowejski, radca legacyjny w Paryżu i Ciechanowski, radca legacyjny w Londynie.

Ministerya fachowe będą reprezentowane w sposób następujący: Przemysł: Rosański, rzeczoznawcy Wieniawski, Iwański, Rose, Bogdanowicz, Marcin Rogowski i inni. Ministerstwo skarbu: Wiceminister Markowski, radca Szarki, Jastrzębski, Fajans. Później przybędą pp. Kanosik, Mrozowski. Delegaci ministerstwa kolei: Gieysztor i rzeczoznawcy Frank i Wereszczyński.

Minister pracy w Zagłębiu Dąbrowskiem i Krakowie

Obecny minister pracy, Ludwik Darowski, bawił w ostatnim tygodniu ubiegłego miesiąca w Zagłębiu Dąbrowskiem, aby wejść w bezpośredni kontakt z sferami robotniczemi, poznać ich życzenia i wyjaśnić intencye, jakiemi ministerstwo kieruje się względem mas pracujących. Pobyt jego w Sosnowcu i Dąbrowie Górniczej dał sposobność przedstawicielom polskiego górnictwa zaznajomienia kierownika urzędu ochrony pracy z całą niedolą mas robotniczych, skazanych na wyzysk ze strony przedsiębiorców, lekceważących sobie stale wszystkie ich, choćby nawet najsłuszniejsze, postulaty. Robotnik górniczy pracować musi w najnieodpowiedniejszych warunkach, nie posiada przyzwoitego mieszkania, dzieci zaś jego szkoły, interwencya rządu w tej sprawie i to skuteczna i natychmiastowa, jest zatem wskazana, aby ochronić pracujące sfery od konieczności uciekania się do samoobrony, jaką są strajki, wyrządzające taką szkodę naszemu życiu ekonomicznemu.

Pan minister wysłuchawszy żądań i narzekań robotników, przyrzekł zająć się gorliwie ich sprawami i zaznaczył wyraźnie, że rząd zdaje sobie dokładnie sprawę z położenia sfer pracujących i dołoży wszelkich starań, aby słuszne ich żądania zostały w jak najkrótszym czasie załatwione, aby normalny tok pracy nic na tem nie ucierpiał. W odpowiedzi na to wyrazili przedstawiciele robotników pełne swe zaufanie do rządu i poddanie się interwencyi jego w sprawie stosunku między robotnikami a pracodawcą. Na zakończenie oświadczył minister Darowski, że państwo polskie oczekuje znów ciężki rok. Z Rosyi powraca coraz większa ilość bezrobotnych, którym trzeba dać pracę. Trzeba sobie zdać sprawę z tego, że największą wartością w Polsce jest praca i jej należy się bezwzględne poszanowanie. Państwo musi dbać o to, by utrzymać istniejące i utworzyć nowe warsztaty pracy.

Był to pierwszy wypadek bezpośredniego zetknięcia się w Polsce ministra pracy z przedstawicielami mas pracujących w środowisku ich pracy, nacechowanego prawdziwą wzajemną sympatyą i zrozumieniem obustronnych intencyi.

W poniedziałek 27 marca odbyła się w Krakowie konferencya Związku robotników przemysłu górniczego w Polsce, na którą przyjechali minister pracy p. Darowski, wraz z głównym inspektorem pracy



Nowa placówka polskiego przemysłu: Inicyatorowie i pierwsi członkowie Spółki stolarzy meblowych i budowlanych w Krakowie.



Nowa placówka polskiego przemysłu: Uczestnicy uroczystości poświęcenia lokalu Spółki stolarzy meblowych i budowlanych w Krakowie w dniu 2 kwietnia b. r.

p. Klottem i radcą min. inż. Konopczyńskim. Przybyli także inspektorzy pracy, p. Gallot (Sosnowiec) i p. Smyczyński (Kraków) oraz przedstawiciel starostwa górniczego dr. Czapliński, inż. górniczy, kierownik krakowskiego urzędu górniczego p. Negrusz i p. Feill za dyrekcyę salin. Z posłów przyjechali: wicemarszałek Sejmu Moraczewski, Klemensiewicz, dr. Bobrowski i Zuławski. Delegaci robotników przedłożyli żądania dotyczące inspekcyi pracy, ubezpieczeń i stosunków pracy w salinach, które p. minister przyobiecał poprzeć. Wieczorem odjechał p. minister do Warszawy.



Zbliżenie polsko-jugosłowiańskie: Dr Vilim Frančić, wybitny literat i publicysta południowo-słowiański.



Święto na lwowskiej scenie. Uczczenie trzydziestopięciolecia pracy artystycznej p. Ireny Trapszo przez Teatr Wielki we Lwowie w dniu 24 marca b. r. Fot. Münz, Lwów.

Nowa placówka polskiego przemysłu.

Z zadowoleniem stwierdzić należy, że w budzącej się do nowego życia politycznego Polsce zwraca się baczną uwagę na sprawy ekonomiczne i kładzie się silne podwaliny pod ich racyonalny rozwój, mogący krajowi wyjść tylko na pożytek. Z chwilą, gdy opadły krępujące nas więzy, ustała także zależność ekonomiczna od zachodnich prowincyi byłego państwa austryackiego, uważających nasz kraj za rynek dla zbytu swych wyrobów i dostawcę po śmiesznie niskich cenach wszelakiego surowca. Polityka byłego rządu austryackiego miała na celu rozwojowi naszego przemysłu stwarzać najróżnorodniejsze przeszkody, by w ten sposób chronić obcy przemysł, który ciągnął z nas milionowe zyski. Dziś, po uzyskaniu samodzielności politycznej, musimy dołożyć wszelkich starań, aby wyemancypować się od ekonomicznej zależności Zachodu, a przyjść nam to powinno z tem większą łatwością, że posiadamy materyały i nie brak nam ludzi uzdolnionych do ich przeróbki na miejscu. Rząd polski zrozumiał też znaczenie, jakie dla kraju ma rozwój życia przemysłowego i w miarę możności otacza je swą opieką, w ślad jego idą i inne, powołane ku temu czynniki, przedewszystkiem więc instytucye finansowe, od których poparcia zależne jest powstanie i rozrost placówek życia przemysłowego, mających nam obok samodzielności politycznej zapewnić i ekonomiczną.

Witamy też z radością każdy nowy objaw budzącego się u nas do nowego życia rodzimego naszego przemysłu, mającego nam zapewnić nie tylko dobrobyt materyalny, lecz przyczynić się także do podniesienia naszej moralnej wartości wobec sąsiadów. Miliony, które corocznie szły za granicę, pozostaną w kraju i o tyle zwiększy się nasz narodowy majątek. Dla nowopowstających zakładów przemysłowych otwierają się tem pomyślniejsze konjunktury, iż kraj, zniszczony wojną, znajduje się w stanie powolnej, ale stałej odbudowy, odbiorców zatem szukać nie trzeba.

Do szeregu przedsiębiorstw przemysłowych, zakrojonych na szeroką skalę, zaliczyć należy istniejącą w Krakowie Spółkę stolarzy meblowych i budowlanych, która obecnie przemieniła się w stowarzyszenie udziałowe z ograniczoną poręką i w ten sposób rozpoczęła nową fazę swej egzystencyi, daj Boże, aby jak najpomyślniejszej.

Spółka stolarzy meblowych i budowlanych założoną została w roku 1920 przez znanych przemysłowców krakowskich pp. Ambrożego Chrobaka, Władysława Meresińskiego, Władysława Stobierskiego i Stanisława Tyrkowskiego. W ciągu dwu lat jej istnienia przekonano się, że w obecnych warunkach może podobne przedsiębiorstwo liczyć na pewne powodzenie, zwłaszcza, że potrafiło sobie już wyrobić zasłużone uznanie i zaufanie, wobec czego uchwałą walnego zgromadzenia postanowiono ją zamienić na Spółkę z ograniczoną poręką. Do wykonania uchwały zabrano się raźno i w krótkim czasie skupiono kilkudziesięciu wspólników, co umożliwiło rozszerzenia agend dotychczasowych i stworzenia wielkiego przedsiębiorstwa fabrycznego. Inicyatorami przekształcenia się Spółki byli pp. dr. Paweł Berski, inż. Maryan Niżyński i dyr. Józef Strzyżowski. Na czele nowozorganizowanej Spółki stanęli pp. dr. Paweł Berski, Ambroży Chrobak i Władysław Stobierski, prezesem Rady Nadzorczej wybrano p. Władysława Meresińskiego, jego zastępcą dyr. Banku Ziemskiego J. Strzyżowskiego.

Ludzie dobrej woli, mający dobro kraju na celu, zrobili już swoje, teraz przychodzi kolej na czynniki rządowe i gminne, które nowemu przedsiębiorstwu powinny podać pomocną rękę, by mu w ten sposób zapewnić dalszy i szybki rozwój. W pierwszym zatem rzędzie jest obowiązkiem gminy miasta Krakowa dostarczyć Spółce po dostępnej cenie kompleksu gruntów celem uruchomienia wielkiej pracowni, w której znalazłoby zatrudnienie kilkuset czeladników stolarskich i budowlanych, co przyszłoby gminie tem łatwiej, skoro po przeprowadzeniu reformy rolnej uzyska ona odpowiednie tereny. Założenie tak licznej kolonii fabrycznej po za miastem przyczyniłoby się do opróżnienia kilkuset mieszkań w obrębie miasta, co musiałoby wpłynąć dodatnio na znaczne złagodzenie obecnego kryzysu mieszkaniowego. Z akcyą tą jest związana także budowa tak zw. osiedli dla urzędników.

W ubiegłą niedzielę odbyło się poświęcenie lokali fabrycznych i biurowych Spółki przy ul. Długiej l. 80 a. Poświęcenia dokonał ks. kanonik Kulinowski, który następnie życzył przedsiębiorstwu błogosławieństwa bożego i rozwoju w odradzającem się życiu przemysłowem naszego państwa. W uroczystości wzięli udział b. wicem. inżynier Dudek, starosta dr. Bal, wiceprezydent dr. Wielgus, prezes krakowskiej dyrekcyi kolei inż. Prachtel, prezes Izby skarb. okręgu krakowskiego dr. Gajewski, dyr. PKP Makowski, prezes Izby budowlanej Wyczyński z architektem prof. Kryzanowskim, dyrektor Muzeum techniczno przemysłowego inż. Tor, istruktor przemysłowy r. Ostrowski, komendant policyi państwowej Szczepański, szef wydziału przemysłowego radca Nowicki, dyr. Strzyżowski, naczelnik stacyi inspektor Polman, radca m. Kosobudzki, cechmistrz stolarzy Igliński, delegat majstrów ciesielskich i murarskich p. Czechowicz, przedstawiciele prasy, oraz szereg wybitnych architektów, inżynierów, budow-



Wiec rękodzielników we Lwowie: Uczestnicy wiecu, odbytego w dniu 25 marca b. r. we Lwowie wraz z posłami sejmowymi drem Adamem (X) i br. Skarbkiem (XX). Fot. Münz, Lwów.

RENE BURES.

Zil=X...

20) tłómaczyła z francuskiego MARYA SEGENY.

Prawdopobnie, ktoś, komu zależało na zatarciu śladów za sobą, pozbył się w ten sposób marki fabrycznej, lub litery wybitej na płótnie.

Przejdźmy teraz do dziewczynki.

Ma ona może lat dziesięć lub dwanaście, na pewno nie więcej. Twarz jej o rysach regularnych, włosy ciemne, dosyć długie splecione w warkocze. Oczy niebieskie. Żadnego szczególnego znaku, na zębach, rękach, ani na ciele. Żadnego znaku przemocy.

Ubraną była w koszulę z cienkiego płótna, w spódniczkę wełnianą, popielatą, dosyć pospolitą i w pończochy czarne bawełniane. Nie miała nic więcej na sobie. Pozatem sposób nałożenia tego odzienia wskazuje, że musiała zostać ubraną po śmierci przez niezręczne ręce nie wprawione do podobnej czynności.

Teraz przejdźmy okoliczności towarzyszące znalezieniu worka ze zwłokami.

Stało się to podczas śledztwa, a właściwie odtworzenia akcyi zbrodni w gabinecie senatora Poivrier. Przyczynił się do tego Markas, nie myśląc wcale o rozmyślnem wprowadzeniu tej inscenizacyi w tok śledztwa. Wyszedł był do ogrodu otaczającego willę w nadziei odnalezienia przecież jakiego śladu, niezauważonego dotąd.

Przybywszy do końca ogrodu, zatrzymał się machinalnie przy klombie krzewów rycynowych. Rycynusy te rozkrzewiły się gęsto w tem miejscu i sięgały już wierzchołkami do wysokości muru. Wówczas zauważył, że jeden pęd tych krzewów był w szczególny sposób odchylony i spadał prawie na ścieżkę ogrodu. Wszedł więc w klomb i natrafił na worek ukryty w gąszczu.

Markas jest człowiekiem obowiązkowym i dokładnym. Przetrząsnął on już kilkakrotnie ten klomb w dzień odkrycia zbrodni i nie znalazł nic. Ja również uczyniłem to z tym samym skutkiem.

— A więc — przerwał Iggins — worek ze zwłokami dziewczynki musiał tam być zaniesiony w międzyczasie popełnienia tych trzech morderstw: senatora Poivrier, Pani de Beaumont i Anglika.

— To nie ulega wątpliwości — odrzekł Dalton.

— Dobrze. Ale jakim sposobem dostał się on tam?

— Nie było można dostać się do ogrodu, bo od pierwszego odkrycia furtka była strzeżona przez policyę.

— A więc worek dostał się tam, od strony muru.

— A że, nie jest rzeczą prawdopodobną, aby wybrano specyalnie ten kąt i ten klomb, dla ukrycia tajemniczego worka w ogrodzie strzeżonym przez policyę...

— Wywnioskować z tego należy, że worek wrzucono tu przypadkiem — dokończył Iggins. Dla tej przyczyny podczas kiedyście inscenizowali napaść na dom kapitana de Limandoux — ja uczyniłem poszukiwania i śledztwo mogące mi rzucić jakieś światło na ten fakt niejasny i nie odkryłem nic zgoła.

— Ah! — mruknął Dalton — to jest niemiła sprawa i która skomplikuje jeszcze całą tę historyę dosyć już tajemniczą.

— Oczywiście! A więc zgadzamy się na jedno. Ktoś przerzucił worek ze zwłokami dziewczynki przez mur — czy tak?

— Tak.

— Ten kąt, do którego wpadł worek leży równolegle do drogi i do łąki otoczonej baryerą, przez którą przejść łatwo. Bardzo dogodne na honor miejsce do wykonania takiej czynności. Osób musiało być dwie. Mur ma trzy metry wysokości. Dla człowieka jednego p.aca ta była ciężka.

— Ale czy jesteście pewni, że ta dziewczynka została zamordowaną? wtrąciłem w tej chwili śledząc uważnie rozmowę Igginsa i Daltona.

— Oto mądra uwaga! Doskonale! — zawołał Iggins. To kwestya bardzo ważna i zająłem się nią przedewszystkiem.

— I co?

— I nic. Powtarzam raz jeszcze, że nie doszedłem do niczego. Śledztwo policyjne w tej sprawie odbyło się w następujący sposób. Zanieśli zwłoki dziewczynki do Morgi. Ciekawa jest tu policya. Z dziwnym jakimś uporem trzymają się starego zwyczaju transportowania zwłok do Morgi, wówczas kiedy już żadnych stwierdzeń uczynić nie mogą. Nazajutrz więc dopiero przystąpili do oględzin. Nie znaleźli nic. Ani rany, ani żadnego gwałtu. Ta mała dziewczynka poprostu umarła dla tego, że żyć przestała. Ani zapalenia płuc, lub zapalenia mózgu. Serce w porządku. Wszystkie organa zdrowe. Teraz szukają trucizny. Ale ja mam dobre oczy do patrzenia i patrzeć umię. Niema ani śladu trucizny w żołądku tej małej, tak jak niema w naszych. Ja wam to mówię i wierzyć mi możecie, moi kochani. Ani śladu trucizny! Czy słyszysz mnie Daltonie, kochany chłopcze, po raz trzeci podkreślam, ani śladu trucizny!

Kończąc tę przemowę Iggins otoczył się kłębem gęstego dymu i pogrążył się w rozmyślanie.

— Umarła jednakże.

— Oczywiście.

— Umarła zamordowana?

— Być może.

— Jakto, być może?

— Tego nie wiem napewno.

— Przyzna pan jednak, że nie wrzuca się worka ze zwłokami kogoś do cudzego ogrodu, jeżeli się nie ma potrzeby gwałtownej pozbycia się tych zwłok jaknajprędzej?

— Słusznie, słusznie — wymówił flegmatycznie Iggins. Ja jednak tylko konstatuję fakt. To były zwłoki, które należało usunąć. Oto tyle.

— A identyczność?

— Doskonale! To ślad, za którym poszedłem z moimi chłopcami. To numer 14 to naprawdę energiczny chłopak. Trzeba będzie pomyśleć o nim Daltonie. Było to wówczas kiedyście wy czynili poszukiwania tam, w Boy-sur-Marne. Ah! jeszcze jedno, poszukiwanie, które nic nie przyniosło. Absolutnie nic! Oczywiście policya oficyalna wie jeszcze mniej od nas...

— Nie było więc żadnych śladów?

— Żadnych. Nic na ubraniu, koszuli, spódnicy, pończochach, bo więcej garderoby tam nie było. Wynotowałem dokładnie wszystko — a oto zdjęcie z całego ciała i z ubrania. Patrzcie. Ani śladu, ani najmniejszego znaczka! To niemiłe, to bardzo niemiłe.

Mówiąc to Iggins podsunął nam fotografię nędznego, małego ciała dziewczynki, ze ściągniętą już i zapadłą maleńką twarzą i ubranie w które zwłoki były zawinięte.

— Czy sądzi pan, że do policyi nie wpłynęło żadne oskarżenie, z zawiadomieniem o zniknięciu dziecka?

— Nie.

— Czytałem uważnie dzienniki wczorajsze i dzisiejsze. Nie znalazłem nic.

— Trzeba będzie codziennie przeglądać wszystkie dzienniki i notować wzmianki o zniknięciu dziewczynek — następnie zaś iść za tym śladem. Jeżeli dotąd nie wpłynęło jeszcze podobne doniesienie do policyi, to widocznie interesowane osoby, albo nie mogę albo obawiają się z tem wystąpić. Czekajmy więc. Może którego dnia podobny ślad sam nam wpadnie w ręce.

— Na razie nie mamy nic innego do uczynienia — zauważył Dalton.

— A pan? — zwrócił się Iggins do mnie. — Jakie jest pana zdanie w tym względzie?

— Zgadzam się z Daltonem i panem — odrzekłem.

— Powróćmy więc do sprawy Poivrier i Limandoux — rzekł Dalton — skoro sprawę małej dziewczynki zmuszeni jesteśmy odłożyć.

— Tak, tak — odpowiedział Iggins wstając z fotelu. Przejdźmy do sprawy Poivrier przedewszystkiem.

Podszedł do kominka, o który wsparł się wygodnie i mówić zaczął, pociągając w metodycznych regularnych odstępach dym ze swojej zczerniałej fajeczki.

— Należy dobrze zauważyć i zrozumieć wszystkie szczegóły tej sprawy, ażeby przekonać się, że wszystkie ślady nasze nie prowadzą do niczego.

Będzie to już pewnym rezultatem. Jeżeli bowiem dotąd nie znaleźliśmy nic, to dla tej przyczyny, że wszystkie te ślady są fałszywe. Senator Poivrier, córka jego i jakiś człowiek nieznajomy zostali znalezieni, zamordowani we willi Bzów, w Rainey. Każde z nich ugodzone zostało kulą w głowę, ale każda z tych kul jest inna. Pozatem senator Poivrier ma gardło przecięte. To są fakta. Czy z tych faktów wyciągnęliśmy jakiś wniosek? Nie! Przypuszczenia zaledwie. Mamy ich kilka, ale nie warto się nad tem zastanawiać. Lepiej zachować dla siebie myśli, które w rzeczywistość zamienić nie można.

Jest jednak jedna rzecz, którą zauważyliśmy. Patrzeli wszyscy, ale zauważyliśmy my tylko jedni. Oto, że w chwili, kiedy senator otrzymał kulę w głowę, ktoś już przedtem przeciął mu gardło. Ci wszyscy z policyi nie spostrzegli tego. A jednak to ważne spostrzeżenie! To jedyna przewaga osiągnięta przez nas. Nie posiadamy więcej wiadomości od nich, ale rozumiemy lepiej. Kto nam teraz odpowie na pytanie: „kto jest sprawcą tego potrójnego morderstwa?

— Jest jedna rzecz, która mnie niepokoi silnie — odezwałem się po chwili milczenia. — Czy senator nie mógł sobie sam poderżnąć gardła w zamiarze samobójczym, przed otrzymaniem kuli?

— Nie — odparł Iggins. Zaraz pana przekonam, że tak stać się nie mogło. Nie czytał pan widocznie sprawozdania z sekcyi medycznej dokonanej na trupie. Senator miał przecięte dwie struny głosowe i dwa nerwy płucne. Otóż nieprawdopodobieństwem jest, aby jeden człowiek, równocześnie przeciąć mógł te nerwy i te struny, bo po przecięciu jednych lub drugich następuje już śmierć momentalna. To doświadczenie wyklucza wszelkie przypuszczenia samobójstwa senatora.

— A przytem — dorzucił Dalton — coby się stało z browningiem i rewolwerem niemieckim. Dochodząc do wniosku w sposób logiczny, rozumowy i jedyny, musimy uznać, że był ktoś jeszcze świadkiem tego dramatu.

— Jakże wyobrazić sobie, że ten świadek obecnym był przy fakcie i rola jego ograniczyła się jedynie do zabrania broni z miejsca tragedyi. To jest nieprawdopodobnem — nieprawdaż?

— Tak — potwierdził Iggins. Tu nie było samobójstwa. Te trzy osoby zamordowane zostały.

— Przez kogo?

— Oto znak zapytania.

Iggins zaciągnął się jeszcze silniej dymem z fajki i ciągnął dalej po lekkiem wahaniu.

— Wyłońmy co do tego przypuszczenia najprawdopodobniejsze. — Na tych wszystkich, którzy mogli być wmięszani w tę sprawę, śledztwo nie znalazło żadnego podejrzenia. Cała służba wykazała się niezbitem alibi.

Kapitan de Limandoux zaś, najbliżej stojący tej rodziny, owej nocy znajdował się w towarzystwie dwóch przyjaciół.

Pozostaje Jerzy Dambleuse.

— Oh! — przerwał Dalton. — Czy nie znajduje pan, że jest tu jedna osobistość, o której zamało się wspomina — ta osobistość, którą przezwaliśmy „Anglikiem". Nie wiemy przecież nic zgoła o nim, nikt nie sprawdził jego identyczności od dnia zbrodni!

— Ja o nim wcale nie zapominam — odpowiedział Iggins spokojnie. Uczyniliśmy wszystko co możliwem było w tym kierunku. Ale co więcej czynić jeszcze? Nie dowiemy się nic więcej. Ten „Anglik" jest tak tajemniczy i tak nieznany, jak ta mała dziewczynka. On dostał kulę z browninga w głowę i oto wszystko. Na ubraniu nie było żadnych znaków szczególnych. Tak samo, żadnych znaków na ciele. Jak i gdzie go szukać?

— A policya?

— Nic nie wie również. Nie posiada wskazówki najmniejszej.

— A tamci?

— Którzy?

— Ci z misyi cudzoziemskiej. Czy sądzi pan, że oni nic także nie wiedzą. Może oni coś rozmyślnie ukrywają, bo są do tego zmuszeni?

— Nie można się od nich nic dowiedzieć. Senator Poivrier był ministrem spraw zagranicznych. On to należał do naczelnej rady w sprawie Baldavin'a. Może być, że oni coś wiedzą. Może wiedzą kim jest ten tajemniczy Anglik. Jakże by to ułatwiło akcyę, gdybyśmy mogli być pewni tego.

— Oni jednak dobrowolnie nic nie powiedzą?

— Oczywiście.

— A więc co robić?

— Czekać.

— A Jerzy Dambleuse?

— Ten nam pozostaje przynajmniej!

— A więc rozważmy jego położenie.

— Dobrze.

— Czy przyjmiemy jako podstawę naszych poszukiwań, że Jerzy Dambleuse jest winnym?

— Będzie to podstawa nie rozumowa.

— A więc dlaczego milczy?

(Dalszy ciąg nastąpi).

LEON GOZLAN.

Historya o stu trzydziestu kobietach

11)

— Giń psie irlandczyku! — zawołał — giń nienawistne dyable plemię — i znowu raz straszliwy wymierzył do piersi Prestona. Ale tym razem Preston schyliwszy się giętki jak trzcina, a zwinny jak wiewiórka, przesunął się pomiędzy nogami Cartera, który straciwszy równowagę, upadł jak długi na pomost, na wielką radość jednej części osady, a wielkie zdziwienie drugiej.

— Chyba zaczarowany być musi! — zawołał Carter z twarzą skrwawioną i oblaną żywicą i mówił dalej, a usta jego pianą zachodziły — Zręcznyś jak widzę i potrafisz uniknąć uderzenia mojej pięści, ale zabaczymy, czy tego tego unikniesz. — I porywając ciężką sztabę żelazną, podniósł się z zamiarem roztrzaskania czaszki przeciwnikowi.

— To nie jest podług reguł! — zawołali jednogłośnie, widząc to stronnicy Prestona — pięści wolno używać, ale żelaza...

Nie mieli czasu skończyć, sztaba żelazna opada, a przechodząc około głowy, ramion, żeber i nóg Prestona, uderza w pomost i robi w nim dziurę, sama się uginając pod siłą uderzenia.

— Ależ to chyba sam dyabeł! — zawołał Carter, blady i znękany temi bezużytecznemi wysileniami — ja już chyba z nim sobie nie dam rady.

— Nie, zdaje mi się — odpowiedział Preston, śmiejąc się, a Karolina, patrząc ciągle na niego wielkiemi, łzawemi, przestraszonemi oczyma, powtarzała cichym głosem:

— Odwagi, mój przyjacielu, odwagi, modlę się za ciebie do Boga i jego świętych; ty będziesz zwycięzcą.

— Nie wierz temu, nie wierz! — zawołało razem trzysta bezbożnych głosów.

Carter zamierza się drugi raz swoją sztabą żelazną na Prestona; zbiera wszystkie siły, natęża muszkuły, bo tym razem musi już koniecznie zgnieść Prestona; Preston tymczasem wyjął z kieszeni stryczek długi i cienki, taki, jakim się zwykle wiążą towary na okręcie. Carter podnosi rękę i sztabę, a w tej samej chwili Preston zarzuca stryczek około nóg jego, czego nawet Carter nie spostrzegł, a stryczek jak wąż okręca się około nóg olbrzyma i potrójnym swoim obwiła je splotem.

To drugie uderzenie sztaby wymierzone jest na poprzek ciała. Preston musi koniecznie być dosiągnięty niem, a skoro tylko sztaba go dosięgnie, już będzie po nim. Ale Preston szybkim biegiem okrąża swojego przeciwnika. Uderzenie więc sztaby z powodu tego ruchu obrotowego utraca całą siłę swoją i nie napotkawszy żadnego oparcia, skóry nawet nie zadrasnęło. Ale cóż to się stało Carterowi, niezmęczonemu Carterowi, który przysiągł, że nie opuści placu boju, aż dopóki nieżywy Preston na nim nie pozostanie. Nie może już się ruszać, prawa jego ręka niezdolna już się odłączyć od ciała, wszystkie członki zdają się sparaliżowane. Carter jest uwięziony, związany, oplątany, w niezliczonych splotach tego stryczka, którym Preston krążąc tak około niego, coraz więcej okręcał całe jego ciało. Carter chce podnieść trzeci raz swoją sztabę, ale Preston go wstrzymuje i tak tamuje wszystkie ruchy jego, że Carter pozostaje bez siły, bez ruchu, nareszcie blednie, chwieje się i upada na pomost, złorzecząc i wyjąc. Upada, nie tknąwszy nawet ani razu tej irlandzkiej żmii, upada zwyciężony, bez walki, bez rany. Upada, żeby zdjęty wstydem i boleścią, widzieć Karolinę Prior w objęciach i posiadaniu Prestona, tego obrzydłego rywala. Sędziowie walki przyszli do Prestona, pytając, jaki los naznacza zwyciężonemu.

— Niech go przeniosą na spód z oficerami — odpowiedział tenże i oklaski pokryły głos jego, Preston bowiem miał przez pewien czas zastąpić Cartera we wpływie, jaki ten ostatni na majtków osady wywierał.

Po zwycięstwie nastąpiła radość ogólna.

— Trzeba wypić zdrowie zwycięzcy! — wołano ze wszystkich stron — pijmy więc!

I bezzwłocznie trzy baryłki rumu, jedna baryłka cukru i dwie paczki cynamonu wlane są w jedną dużą kadź na pomoście i zapalone zaraz. Trzeba zrobić olbrzymi poncz, żeby uświetnić zwycięstwo Prestona. Kobiety chciały, żeby jego małżeństwo z Karoliną Prior zostało natychmiast zawarte, ale Preston nie przystał na to.

Zapalono więc poncz i wiatr kołysał niebieskawym jego płomieniem, od którego cały pomost dziwnie się odświetlał.

A Thompson, niewzruszony świadek tych wszystkich wypadków, notował na swoim raporcie:

„Burza trwa ciągle, kapitan Forster roztrzaskał sobie czaszkę wystrzałem z pistoletu. Jeden z naczelników zbuntowanych zwyciężył drugiego w walce osobistej. Okręt bez kapitana płynie na wolę Bożą. Osada cieszy się najlepszem zdrowiem. Będziemy poncz robili".

W chwili, kiedy sześciu majtków ze stronnictwa Prestona porywało związanego Cartera, żeby go przenieść na spód okrętu, mulat Samuel zbliżył się do Ascotta, prowadzącego pod rękę Prozerpinę i rzekł do niego tonem zuchwałym i zaczepiającym:

— Tak to więc bronisz twojego przyjaciela Cartera?

— Tobie nic do tego, małpi synu — odpowiedział Ascott mulatowi — dotknij się tylko tej kobiety, tak jak Carter dotknął się kochanki Prestona, a zobaczysz.

— Zaraz to uczynię — rzekł mulat nachylając się, żeby wyrwać Prozerpinę Ascottowi.

— Ale ja żyję jeszcze! — zawołała Prozerpina, uderzając mulata w policzek z taką siłą, iż zdawało się, że to było uderzenie mężczyzny, a nie kobiety i że aż cała ta strona twarzy posiniała najokropniej.

— A teraz na mnie kolej! — zawołał Samuel, porywając Ascotta za jeden z jego faworytów i wyrywając mu ten faworyt razem ze skórą.

— Poncz, poncz już gotów! — krzyczał na cały głos kuchmistrz Christmas, powrócony zwyczajnym swoim obowiązkom, chociaż czasem jeszcze wyrzekający na widok rozrzutności majtków: „Ach! to za wiele cukru, po co brać tyle cynamonu".

Ascott pomimo strasznego bólu, jaki uczuwał, porwał mulata za jego wełniste włosy.

Te dwa tygrysy gryzły się w twarz oba, gryzły się naprawdę.

* * *

Podczas następującej Diany majster Gandolf nie potrzebował już dzwonić, żeby zgromadzić koło siebie swoich słuchaczy; żadnego z nich nie brakło. Bo który z nich nie był ciekawy dowiedzieć się, jak się skończyła walka Ascotta z tym strasznym mulatem Samuelem, któremu Prozerpina w nagrodę za oświadczenie miłosne tak sowity wycięła policzek?

— Ale któż był u steru okrętu, podczas gdy się to wszystko działo? — zapytał Junga.

— Burza — odpowiedział majster Gandolf. — Ci piekielnicy rozwinęli tyle żagli, ile tylko ich maszty unieść mogły. Jakim sposobem nie topiliśmy się dwa razy na godzinę, jakim sposobem maszty nie potrzaskały się jak zapałki chemiczne, tego wam już nie wytłómaczę, bo sam nie wiem.

— Otóż na tem stanąłeś, majstrze Gandolf: Ascott i mulat gryźli się nawzajem, a poncz buchał płomieniem w wielkiej kadzi, wystawionej na pomoście.

— Tak, na tem stanęliśmy istotnie; cała ta kadź ponczu została w jednej chwili wypróżnioną, a majtkowie utworzyli wielkie koło, żeby zobaczyć, kto kogo połknie, czy Ascott Samuela, czy Samuel Ascotta. Walka na pięście rozpoczęła się pomiędzy dwoma tymi rozbójnikami, zmęczonymi gryzieniem jeden drugiego, tylko że Samuel miał ośm ran na twarzy, a Ascott wielką krwawą dziurę, jakby rów wykopany w twarzy, który szedł prosto od ucha aż do półbródka. Było to miejsce, gdzie rosił dawniej faworyt, który mu mulat Samuel tak gwałtownie oderwał. Piękna Prozerpina wyszła z tłumu, patrząc na tę walkę, która się dla niej odbywała. Ognistemi spojrzeniami, gestami, słowami starała się dodawać odwagi Ascottowi, odwracając się od czasu do czasu jak lwica, do której była może podobną z płowych włosów, na ramiona w nieładzie rozrzuconych.

Postawiono pod ręką dwóch współzawodników dwa ciężkie morskie topory i dwa muszkiety, nabite trzema kulami kalibrowemi.

Boksowanie było, jak amatorowie nazywają, ciemne; ta walka odbywa się głucho, bez hałasu, bez krzyków, bez wołań tryumfu albo boleści; zabijają się w milczeniu.

Zaczynają więc.

Mulat pierwszem uderzeniem zagroził twarzy Ascotta i nagle, zmieniając kierunek, uderza go z całej siły w ramię, żeby zniweczyć odrazu jego siły. Ascotta twarz wykrzywia się od bólu, ale hamując go w sobie, odpowiada takiem samem uderzeniem prosto, bez żadnego udawania wymierzonem. Szeroka plama niebieska wyskakuje natychmiast za uderzeniem na muszkularnem ramieniu Samuela, którego ręka opadła ciężka i zdrętniała. To uderzenie uważane było za najlepsze.

Nagrodą zwycięzcy był poklask ogólny, który jednak natychmiast ucichł.

Zaledwie powróciwszy do przytomności Samuel jeszcze raz podniósł ściśniętą pięść swoją i jakby maczugą ołowianą uderzył nią w głowę Ascotta.

Czaszka tego ostatniego zatrzeszczała jakby kość pękła pod ciężarem pięści mulata; skóra czoła sfałdowała się na oczy i kark jego potężny zgiął się nawet; został na chwilę ogłuszony, zaćmiło się jego spojrzenie i sądzono, że już po nim; ale nagle przyskakując do mulata, zanim tamten mógł nawet odgadnąć to poruszenie, Ascott oddaje mu w to samo miejsce jego uderzenie. Czy dlatego, że raz lepiej był wymierzony, czy też, że Samuel zaniedbał zwykłych ostrożności, jakich się w takich razach używa, język mulata został przecięty na dwoje własnymi jego zębami i razem z krwią wypluł go na podłogę.

Tu nastąpiły wołania i oklaski większe jeszcze niż poprzednio, zagłuszając okrzyki zgrozy kilku kobiet słabszego serca, przerażonych tym widokiem.

Samuel, pomimo straszliwej rany swojej podnosi jeszcze raz rękę ze ściśnioną pięścią i uczenie ją w kąt regularny układając, odsadza dla większego impetu. Puszcza nareszcie ten naturalny taran, kierując go prosto do piersi Ascotta. Ascott, który widzi niebezpieczeństwo i czuje niemożebność uniknięcia go, nie stara się już wcale o to, ale naśladuje gest przeciwnika, chcąc uderzenie za uderzenie oddać; słychać razem jakby dwa stuknięcia młotem w kowadło, aż krew zastygła w widzach, bo zdawało im się, jakby każdy z nich poczuł ból tego uderzenia. W tej samej chwili piersi Ascotta zaczerwieniły się, jakby na nie wrzącej wody nalano, krew bowiem nabiegła do nich z szybkością pioruna, jak gdyby ściągnięta tam działaniem machiny pneumatycznej; piersi zaś mulata wklęsły zupełnie; zdawało się, że żebra jego rozpękły się jak fiszbiny parasola przez wiatr wzdętego, jak gdyby niektóre z nich chciały się dobyć z pod skóry, a przytem żadnego krzyku, żadnej skargi, żadnego jęku, wszystko się wewnątrz odbywało. Po otrzymaniu tego strasznego uderzenia, którby klepki beczki rozbić mogło, Samuel uśmiechnął się łagodnie, na sposób dzikich Indyan północnej Ameryki, kiedy im nieprzyjaciele wyrywają serce z piersi, żeby je upiec przy ogniu.

— Uśmiecha się! — wołali majtkowie — więc musi chyba umierać.

— Nie jeszcze — rzekł Samuel, porywając za topór leżący przy nim, a Ascott naśladował jego poruszenie i obydwa stanęli naprzeciwko siebie z toporami.

Topór nie jest to broń wymagająca krwi zimnej, zręczności wojennej, jest to broń gniewu, mordu i rozpaczy, to jest broń ostateczna; niema sposobu uniknięcia pioruna, a topór, to piorun ze stali.

Ascott, odstępując od systemu, jakiego się dotąd trzymał, uderzył pierwszy na przeciwnika; dziwne było to cięcie, jak gdyby ironia losu kierowała ręką Ascotta, ostrze toporu, napotkawszy nos mulata, rozcięło go w całej długości, dzieląc zarazem na dwoje usta jego i brodę; twarz Samuela nabrała straszliwego i śmiesznego zarazem wyrazu, od tej krysy na dwie połowy ją przecinającej. Ale wściekłość mulata podwoiła się tylko tą raną i śmiechem, jaki ona wzbudzała w widzach. Ręka jego drga nerwowo, mimo tego podnosi się w górę z siłą podwojoną gniewem, topór błyszczy w powietrzu i spada, tnąc w bok głowy Ascotta, odcina temu majtkowi ucho; ucho upada na pokład, mulat schyla się z szybkością błyskawicy i podniósłszy je z ziemi, połyka ciepłe i drgające jeszcze. I walka rozpoczyna się na nowo.

(Ciąg dalszy nastąpi).

TADEUSZ KANNENBERG.

TELEFON

— Hallo?
— Słucham pana!
— Kocham panią!
— Impertynent! Gwałtownie przerwała rozmowę. Intermezzo to jednak trochę ją z denerwowało tak, że w dalszej pracy biurowej często się myliła.

Ciekawość wzrosła pod wieczór, gdy zgasiła lampę, stojącą przy łóżku. Jakże rozkosznie musi się słuchać podobnych wyznań, skoro samo rozpamiętywanie magicznego słówka w telefon rzuconego, już sprawia tak miłe uczucie.

— A może to żart? Głos był zbyt poważny i dziwnie miękki, jakby wzruszony. Nie, to nie mógł być żart. Kto to mógł być?

Misia usnęła w końcu, miała jednak sny tak fantastyczne, a przy tem tak niezwykle romantyczne, że prawdopobnie z tego powodu nazajutrz wstała z głową ociężałą.

Praca biurowa wydała się jej wstrętną.
— Hallo?
— Słucham! Misi serce żywiej uderzyło.
— Pani się gniewa?
— Z kim mówię? Misia brwi ściągnęła, gotując się dać srogą odprawę intruzowi, który już zdołał zburzyć jej spokój.
— Pani się gniewa? — powtórzył głos o głębokim przemiłym tonie.
— Nie rozumię o czem pan mówi. Misia chce by się winowajca sam przyznał, wówczas go skarci. Równocześnie jednak za wszelką cenę chciałaby przedłużyć rozmowę.
— Nie pamięta pani?
— To wczoraj?... Właśnie chciałam panu...
— Wczoraj? Przepraszam, ale mam wrażenie, że się nie rozumiemy. Wczoraj nic nie było.

Misia nie wiedziała co zrobić. Przecież to ten sam głos.
— Przepraszam pana.
— Nie szkodzi.
— Więc o cóż panu idzie?
— Chciałem pani powiedzieć... Misi się zdaje że wieczność przeżywa.
— Słucham, proszę.
— ...że panią nienawidzę...
— To bezczelność! Rzuciła słuchawkę. Usiadła gwałtownie na krzesełku, zachmurzyła się, w końcu rozpłakała.

Dzisiejsze urzędowanie poszło fatalnie. W drodze do domu chcąc odwrócić myśli denerwujące, kupiła bezmyślnie bukiecik konwalii, ćwierć funta cukierków i wodę kolońską.

— Kto to mógł być? Eh! cóż znowu! Głupim żartem trudno myśl zaprzątać i nerwy niszczyć. A jednak...

W każdym razie ten ktoś znakomicie znał tryb jej urzędowania. Za pierwszym i drugim razem telefonował w chwili, gdy siedziała przy biurku, a przecież w zakresie jej pracy leży ustawiczny ruch, często wychodzi do dalszych pokoi a nawet na ulicę. Dalej w obu razach telefonował po pierwszej w południe, a więc wówczas, gdy już nie przyjmuje się prywatnych osób. Niema wątpliwości, że ktoś ją pilnie śledzi.

Nazajutrz na biurku zobaczyła list. Szybko rozerwała kopertę: „Kocham i nienawidzę". Dwa słowa i nic więcej.

— Przecież to okrutne tak drwić z bezbronnej kobiety! Co począć? kogo się poradzić?

Dozorczyni domu wręczyła jej bukiecik konwalii, paczuszkę cukierków i flaszeczkę wody kolońskiej. Przyniósł mały chłopak od „pana". Jakiego pana? nie pytała.

— Jezus, Marya, to okropność, jestem śledzona na każdym kroku. Dam znać do policyi. Dłużej tego nie zniosę. Niech co chce się stanie, ale niech się raz wszystko skończy.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Zmieniła zdanie i poszła do szefa swego biura.
— Panie szefie, doradź pan.
— Przecież nie mogę się wdawać w prywatne sprawy.
— Ależ ja jestem napastowana!
— Przez człowieka, który panią kocha.
— Ale ja go nienawidzę, nienawidzę po tysiąckroć razy.
— Radzę przeczekać. To najlepsze lekarstwo. Dam pani urlop, proszę wyjechać na świeże powietrze. Śliczna wiosna, pani się uspokoi.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Tydzień. Długi, smutny tydzień przedurlopowy. Takiego długiego tygodnia Misia nie miała nigdy w życiu. Co się stało? Nic. I to właśnie źle! Dnie podobne do siebie jak krople wody, w biurze praca nudna, że trudno wytrzymać. Misia straciła apetyt i pobladła.

— Widocznie ten ktoś się obraził. Postąpiłam jak pensyonarka. Teraz wszystko przepadło! Co miało przepaść, Misia dobrze nie wiedziała.

Dziś ostatni dzień w biurze. Już wszystko załatwiła, tylko kapelusz na głowę i...

— Hallo? Misi zatrzęsły się nogi. Wrosła w posadzkę, ani rusz postąpić. Słuchawka leży odłożona, mimo to słyszy przytłumione: hallo? hallo?! Zbliżyła się cichutko do biurka i usiadła. Cisza. Po chwili słyszy znowu: Hallo? Misia chwyciła za słuchawkę, nie odzywając się ni słowem.

— Hallo? Więc to tak? Hallo? Ucieka pani przedemną. Hallo. A jednak nie dam pani spokoju ni w biurze ni w domu, ni na ulicy, ni w dzień, ni w nocy. Hallo? Odnajdę panią choćby się pani skryła przedemną. Hallo? Kocham panią i nienawidzę równocześnie na samą myśl, że mógłbym panią nie posiadając jej, utracić. Tak wielką jest moja miłość, pierwsza i ostatnia w mem życiu. Za towarzyszy podróży posyłam pani gorące słowa: kocham i nienawidzę.

Misia była bliską omdlenia, słuchała tego wszystkiego półprzytomna. Nie miała siły odezwać się bodaj słówkiem. Skąd on mógł wiedzieć, że go ktoś słucha? To jakiś maniak, czy obłąkaniec, mówi do słuchawki nie wiedząc, czy go kto słucha.

Misia wybiegła z biura i nie czekając rannego pociągu, wyjechała tego dnia wieczór...

— — — — — — — — — — — — — — — —

— Panie Stanisławie, gratuluję panu!
— Czego, panie szefie?
— Otrzymał pan posadę naczelnika pokrewnej nam instytucyi w stolicy. Oto dekret.

Stanisław drżącą ze wzruszenia ręką odebrał dekret, szybko przebiegł go oczyma i westchnął.
— To nagroda za wytężoną pracę.
— Bo też spracowałem się niemal ponad siły.
— Pańska wytrwałość graniczyła wprost z fanatyczną zaciekłością.
— Nauczyłem się pracę kochać i nienawidzieć. Kocham ją, bo mi daje zapomnienie mych ułomności, wszak jestem garbus... Nienawidzę, bo oddając się jej tracę zdrowie. Obecnie poproszę pana szefa o parotygodniowy urlop. Nowa ciężka praca mnie czeka.
— Należy się panu.

Garbusek wyszedł żegnając się serdecznie z dotyczasowym przełożonym.

Sezon właściwy jeszcze się nie zaczął. Nikogo znajomego. Nowych zaś znajomości Misia nie chciała zawierać. Jest tu już przeszło tydzień. Zdenerwowanie powoli ustępowało, pozostawiając miejsce uczuciu pewnej łagodności i wewnętrznej ciszy. Stan ten jednak mimo wszystko był powierzchowny. Gdzieś tam, z głębin serca raz po raz odzywała się niema skarga, dlaczego on zapomniał, dlaczego nic nie pisze. Niechby tylko słówko.

Największą przyjemnością Misi był codzienny spacer na pocztę. Może przecie... Niestety!

Jednego południa zaszła daleko w głąb lasu, pełnego przedziwnych zapachów wiosennych. Usiadła na pniu i patrzała z nieokreśloną tęsknotą na rozległe wzgórza. Nagle na szelest odwróciła głowę i zobaczyła zbliżającego się pana Stanisława. Poznała garbuska odrazu, wszak to jeden z kolegów biurowych z drugiego pokoju. Wzbudzał w niej zawsze uczucie litości i dlatego dotąd była odeń zawsze zdaleka. Dziś pod wpływem osamotnienia wprost ucieszyła się znajomą twarzą.

— Jak się pan ma, co pana tu sprowadza?
— Jestem na urlopie. Zostałem naczelnikiem...
— Jaki pan ma dziwny głos?! — podchwyciła Misia, lecz zaraz jak gdyby się jej coś przypomniało, popatrzyła na niekształtną postać i nieznacznie uśmiechając się, dodała: Eh, nic!

Odtąd chodzili codziennie na wspólne spacery i codziennie... na pocztę.

Stanisław wobec kobiet był nieśmiały, to też spacery były pozbawione właściwego wdzięku, raczej krępujące.
— Dlaczego chodzimy codziennie na pocztę?
— Ot, tak sobie. Może jaki list.
— Od kogo?
— Czy ja wiem?

W trzy dni Misia otrzymała list. Nie mogła ukryć wzruszenia. Chciała być samą. Stanisław się nie domyślał, że odrazu stał się niepotrzebny. Doszli spiesznie do lasu, nie mówiąc do siebie.

Przepraszam pana. Muszę list przeczytać.
— Słusznie.

Stanisław usiadł na trawie w dość znacznej odległości, skąd mógł swobodnie przyglądać się Misi, która tymczasem gorączkowo czytała:

„Najsłodsza pani. Przeczuwam, żeś mnie pani już pokochała. A że i ja kocham panią całą siłą pierwszej miłości, więc już nie wyobrażam sobie życia inaczej, jak tylko razem na zawsze. Już czas, byśmy się poznali. Przyjadę niebawem".

Misia spłonęła cudownym różem. Cała postać promieniała. Zerwała się, śmiejąc, podbiegła do Stanisława, który czegoś nagle posmutniał.

— Ah, panie Stanisławie, żeby pan wiedział, jaka jestem szczęśliwa!

Przez powrotną drogę Misi usta się nie zamykały, śmiała się, wesoła i swobodna jak ptak z klatki wypuszczony.

Natomiast Stanisław smutniał coraz więcej. Znać było wysiłek, z jakim walczy, by okazywać uprzejmość towarzyską.

Drugiego dnia Misia wyglądała jeszcze bardziej uroczo, a przypływ wewnętrznej radości zwiększał tylko powaby jej postaci.

Stanisław natomiast przeżył noc okropną i nazajutrz wstał z twarzą pełną przygniatającego smutku. Zwróciło to uwagę Misi.
— Taki dzień śliczny, a pan taki smutny?
— Nie zawsze można być wesołym. Niedawno i pani bywała smutna.
— To co innego!
— Kto wie?
— Ależ zaręczam panu. Bo... panie Stanisławie, pan jest pierwszy, któremu zwierzam moją najserdeczniejszą tajemnicę.
— Proszę mi zaufać.
— Bo... jestem - tu głos zniżyła i główkę spuściła — jestem zakochaną po raz pierwszy w życiu.
— W kim? — drżącym głosem zapytał Stanisław.
— To właśnie jest okropne! Nie wiem, nie znam go. Ale musi to być mężczyzna w całem tego słowa znaczeniu dzielny, o stanowczym, pięknym wyrazie twarzy. Wyobrażam go sobie słusznym brunetem, energicznym w ruchach, z głosem... — tu popatrzyła na zgarbionego Stanisława — z głosem podobnym do pańskiego.
— A gdyby on był inny, niż go sobie pani wyobraża?
— Proszę mi nie psuć dnia. Niebawem przyjedzie, zobaczymy go oboje. Usiądźmy tu, na tej przecudnej polance, wśród sosen i jodeł i rozmawiajmy.
— A gdyby on był inny?
— Pan koniecznie dąży do tego, bym straciła wesołość.
— Bo w smutku jest pani bliższą mi, nie tak bardzo daleką!
— A cóż panu na tem zależy?
— Bo właśnie tym kimś — Stanisławowi głos zadrżał i serce żywiej uderzyło — tym kimś, kto panią bardzo kocha... ja jestem.

Misia omal nie zemdlała. Twarz w dłonie ukryła i zapłakała.
— Kocham panią...
— Odejdź pan, odejdź — błagała wśród łez.
— Panno Misiu, niech pani stara się rozważyć, że nic się nie zmieniło. Poznała pani człowieka, który panią kocha i nigdy kochać nie przestanie.
— Nienawidzę pana i gardzę nim!
— To raczej ja powinienem w pani nienawidzieć cały świat kobiecy. Dlatego tylko, że moja postać odbiega od wytworzonego w wyobraźni pani obrazu, wydaje pani sąd o człowieku, który panią kocha prawdziwie.
— Jak pan mógł to uczyć?
— Jak mogłem się w pani zakochać, czy jak mogłem się do tego przyznać?
— Odejdź pan, odejdź, chcę być samą.
— Popełnia pani wielką omyłkę. Pozwala pani, by pozór zwyciężył rzeczywistość. Odchodzę, lecz między nami nie wszystko jeszcze skończone. Bo wierzę, że miłość musi zwyciężyć przesąd u pani tak, jak już dawno zwyciężył u mnie. Wszak przed godziną przyznała się pani do miłości człowieka, którego duszę pani już poznała.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Misia urlop przerwała i wróciła do pracy biurowej, która wydawała się jej teraz zbawieniem.

Kronika tygodniowa

Nie mieliśmy czasu dotąd na dokładniejsze roztrząśnięcie swego sumienia, a tutaj Wielki Post już się kończy, następna kronika zawierać będzie „Wesołego Alleluja", do których przyjęcia P. T. Czytelnicy zechcą się godnie przygotować.

Aby je módz złożyć osobiście, zrezygnować musiał kronikarz z wyjazdu na konferencyę genueńską, trudno się bowiem sprzeniewierzać tradycyom, jakie się przestrzegało przez cały szereg lat. Weronika ofiarowała się wprawdzie zastąpić małżonka i w czasie jego nieobecności objąć jego tygodniowy referat, była ta gotowość przecież także jednym z motywów, skłaniających do pozostania w Krakowie, zachodziła bowiem obawa, że kronikarka zastępczyni mogłaby łatwo puścić wodze zbyt rozbujałej fantazyi w przeciwieństwie do zrównoważonego tonu jej małżonka. Konferencya genueńska ma potrwać co najmniej dwa miesiące, wydalenie się z Krakowa na czas tak długi byłoby też połączone z ogromnymi kosztami, gdyż nawet liry włoskie stoją daleko wyżej od naszych nieszczęsnych marek.

Siedzimy zatem w Krakowie, przygotowujemy się do złożenia życzeń za tydzień i czekamy cierpliwie, aż kurka, której obowiązkiem dostarczyć jajek na święta, wywiąże się ze swego zadania, jak dotąd bowiem była kurą tylko *de nomine*, nie złożywszy ani jednego dowodu swego jajonośnego powołania. Jak się zdaje, wybór był nieodpowiedni, trafiło się bowiem na kurę-emancypantkę, mającą głowę nabitą nie, jak być powinno, jajami, lecz równouprawnieniem obu płci, piejącej i gdakającej. Wobec tego sąd familijny skazał ją na śmierć, w święta Wielkanocne pojawią się jej zwłoki na kronikarskim stole, w ostatnie dni przed straceniem dogadza się jej, aby nabrała tuszy i nie narzekała na ten świat, że życie jej upłynęło na nim bez jakichkolwiek przyjemności. Z tej racyi wskazanem było także wyrzeczenie się zamiaru podróży do Genui i narażanie się na niepewne losy, gdy tu, na miejscu, czeka tak pewny, a dziś do takich rzadkości należący przysmak, jak pieczona kura, zdobiąca dziś tylko stoły milionerów. Nadto w okresie świątecznym pożądaną jest obecność kronikarza w Krakowie z powodu odbyć się mających na Podgórzu, podczas Rękawki, igrzysk olimpijskich, na który to cel Rada miasta wyasygnowała dwadzieścia tysięcy marek.

Gdy przed dwoma laty odbywały się podobne igrzyska w Antwerpii, z Polski wybierało się na nie wiele osób, zajmujących się sportem, każda jednak chciała jechać na koszt kraju. Oburzano się, jak można tak lekceważyć swą własną opinię wobec świata i nie wysłać do Antwerpii swego przedstawicielstwa, co nie kosztowałoby wiele, co najwyżej kilkanaście milionów. Ponieważ zaś w kasie pustki, chcąc zatem wydać jakąś kwotę, trzeba ją pożyczyć, chyba wszystko jedno, czy pożycza się kilkanaście, czy kilkadziesiąt milionów, im większy kto zaś ma kredyt, tem lepiej świadczy to o jego sile finansowej. Rząd polski nie był od tego, aby czemś przyczynić się do opędzenia kosztów wycieczki sportowej, w każdym razie nie dawał tyle, ile od niego żądano i to było powodem kwasów i dąsów. Na szczęście pospieszyli nam z ratunkiem bolszewicy, urządzając wycieczkę w stronę Warszawy, wobec czego polscy gimnastycy, znalazłszy dość sposobności do popisu na własnej ziemi, na zawody międzynarodowe nie pojechali i dziury z tego powodu w niebie nie było, ani nawet zaćmienia słońca, które przypadło dopiero na rok 1922. i, z powodów od Redakcyi nie zależnych, dla oka zwykłego śmiertelnika, choćby miał nawet zakopcone szkiełko, nie było dostrzegalne.

Nie czekając na rok 1924 i na igrzyska w Paryżu, urządzamy je w dzień Rękawki na Krzemionkach, a choć ani Carpentier, ani Cyganiewicz nie zapowiedzieli swego przybycia (co jednak nie jest wykluczone...), spotkamy się tam z wyścigami we workach, spinaniem się po drągu, najrozmaitszymi skokami i td., zabawa zatem zapowiada się bardzo pięknie, o ile oczywiście „mistrzowstwa Krzemionek" nie zdobędą znowu bracia Czesi, którzy pobili nas tak na śniegu, jak i na boisku footbalowem. Co najważniejsze, nie będzie ta impreza zbyt wiele kosztować; gminna dotacya w kwocie dwadzieścia tysięcy marek powinna najzupełniej wystarczyć, o ile oczywiście na szczycie drąga nie będzie prezentów, o czem jednak będą się mogli przekonać ubiegający się o nie, dopiero po dostaniu się na miejsce. I to właśnie ma stanowić dla nich niespodziankę.

Otóż kronikarz postanowił wybrać się na igrzyska olimpijskie w Podgórzu, ale nie w celu wzięcia w nich udziału, ale, aby się przekonać czy się opłaci podróż w r. 1924 na paryską Olimpiadę. Przy tej sposobności ma też zamiar odwiedzić swych podgórskich przyjaciół, którzy w tym roku przygotowują się podobno na gościnne przyjęcie mieszkańców lewego brzegu Wisły, dawniej tak chętnie odwiedzających „Galicyę" w trzeci dzień świąt Wielkiejnocy. Po wojnie wrócą może dawne tradycye i nawiążemy znowu te nici serdeczne, jakie nas łączyły przedtem z sąsiadami ze Zwierzyńca, Podgórza i td. ku czemu przeznaczone są dni Emausu i Rękawki.

W podobnem położeniu, jak kronikarz, co się tyczy jazdy na konferencyę genueńską, znalazł się także Lenin, z tą jednak różnicą, że gdy kronikarza powstrzymuje od zamiaru wyjazdu apetyt na pieczoną kurę, która za karę, iż jaj znosić nie chciała dostała się na rożen, oraz igrzyska olimpijskie w Podgórzu, on nie może zdecydować się, jaki kierunek obrać, to jest, czy jechać do Bozi, czy do Genui. Jak bowiem donoszą pisma codzienne, dlatego tak się nazywające, ponieważ codziennie podają inne informacye i to w tej samej sprawie, w ciągu jednego tygodnia Lenin pakował swe manatki, aby się wybrać do Genui, chorował śmiertelnie, tak, że musiano powołać doń jakiegoś słynnego lekarza z zagranicy, co mu jednak nie przeszkadzało w przemawianiu na rozmaitych zgromadzeniach, urzędowych i nieurzędowych, oczywiście na temat stosunku Rosyi sowieckiej do reszty Europy. Lenin ma ogromną ochotę spotkać się osobiście z Lloydem Georgem, aby mu otwarcie powiedzieć, co myśli o nim i o jego polityce względem Rosyi. Na uznanie ze strony Anglii sowiety najbardziej liczyły, zawód, jaki je spotkał, był zupełnie niespodziewany, sądzono ogólnie, że angielska rybka połknie zręcznie zarzuconą jej wędkę. I, kto wie, czy nie byłoby się tak stało, gdyby nie okoliczność, że kandydatek do połknięcia owego haczyka było więcej, każda chciała być pierwsza i jedna drugiej z tego powodu ustawicznie przeszkadzała.

Czy Lenin pojedzie do Genui, czy nie, bez względu na to ma się tam udać delegacya sowiecka pod przewodnictwem Cziczeryna, składająca się z kilku wagonów Nachamkesów, Finkelszteinów, Rosenfeldów i innych „istinno russkich" czeka jedynie aż rząd włoski da odpowiednie gwarancye, iż żadnemu z członków, choćby był nawet łysy jak kolano, włos z głowy nie spadnie, a Faściści nie dobiorą się im do skóry. Hotelu w którym delegacya sowiecka ma zamieszkać, strzeże już od tygodnia batalion piechoty i karabiny maszynowe, jest podobno podminowany, aby, w razie grożącego niebezpieczeństwa można go było wysadzić w powietrze i w ten sposób uratować delegatów rosyjskich od wyrażenia im uznania i wdzięczności ze strony przedstawicieli pracującego ludu włoskiego.

Z telegramów wiemy, że delegaci rosyjscy zbierają się już w Niemczech, gdy *Nowości Illustrowane*, ujrzą światło dzienne, będą oni już prawdopodobnie na miejscu, o ile oczywiście w ostatniej chwili konferencya nie zostanie odwołaną lub odłożoną na czas późniejszy. W każdym razie oczy całego świata skierowane są obecnie w stronę Genui, o niej każdy mówi i pisze, każdy chciałby tam być osobiście, naturalnie nie na swój koszt, lecz jako delegat pobierający dyety dzienne, proszący zatem Pana Boga, aby konferencya trwała jak najdłużej.

Spotkanie się Lloyda Georgea z Leninem przypominałoby w zupełności dzień 28 marca b. r. na który zapowiedziane było częściowe zaćmienie słońca, widzialne u nas w godzinach popołudniowych. Ciekawych było bardzo wielu, co drugi obywatel Krakowa miał koniec nosa zawalany sadzami z okopconego szkiełka, w jakie się zaopatrzył celem dokonania obserwacyi, ale wszystko na nic. Słońce schowało się za chmurą, księżyc, ponieważ był na nowiu, nie pokazał się także, wobec czego nasi astronomowie wrócili do domu z minami zawiedzionemi, niektórzy w stanie całkowitego zaćmienia.

Wojna wpłynęła bardzo denerwująco na rodzaj ludzki, ludzie stali się ogromnie wrażliwi, przejmują się byle czem, tem się też tłómaczy, że w okresie roztopów wiosennych i powodzi miało się do czynienia stale ze „zalanymi", w okresie zaćmienia, choćby tylko częściowego, spotkać można było wielu całkowicie zaćmionych.

W każdym razie owo spotkanie się księżyca ze słońcem nie narobiło tyle wrzawy, co zeszłoroczne *rendez vous* Marsa z Wenerą, które, nawiasem mówiąc odbyło się w takich samych, jak tegoroczne zaćmienie słońca, warunkach, to jest pod osłoną chmur, tak, iż właściwie nikt nie wiedział, co się tam dzieje, mógł się jedynie domyślać, a że domyślność Krakowian, zwłaszcza Krakowianek, jest znana, słyszało się głosy pobożnych a skromnych niewiast:

— Wiedział Pan Bóg, co robi, zakrywając ich chmurą, aby oczy ludzkie nie patrzyły na podobne bezeceństwa...

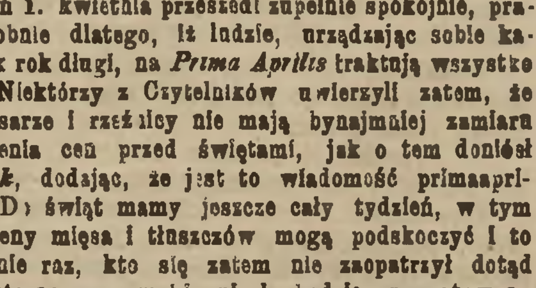
Tego roku obawa publicznego zgorszenia odpadała, słońce i księżyc nie zagrażał niczem moralności publicznej, a, choć się nie pokazały ludziom, zrobiły swoje, jak to było zapowiedziane przez astronomów.

Czy Lloyd George spotka się z Leninem, czy nie, który z nich obejmie rolę słońca, a który księżyca i czy spotkanie to będzie widzialnem, o tem nie mogą powiedzieć nawet astronomowie polityczni, których horoskopy zawodzą zbyt często. Słońcem byłby w danym wypadku Lloyd George, około którego kręci się obecnie cały świat, w roli księżyca, mającego go chwilowo zaćmić, wystąpiłby Lenin, o ile oczywiście tymczasem nie umrze naprawdę lub nie zmieni projektu co do wybrania się na konferencyę genueńską, mogącą się obejść zupełnie dobrze i bez niego. Gdyby nawet spotkanie owych mężów i stanu doszło do skutku, podobnie jak tegoroczne zaćmienie słońca, byłoby ono dla oka szerszych warstw niewidzialne, dowiedzielibyśmy się jedynie z komunikatów urzędowych, że się odbyło i że obaj panowie doszli do zupełnego porozumienia, to jest, iż każdy z nich będzie i w dalszym ciągu postępował tak, jak uważa za korzystniejsze dla siebie.

Daleko ważniejsze, iż nad Krakowem w dniu 1. kwietnia pojawiły się trzy całkiem żywe bociany, krążące nad miastem i jak gdyby szukające miejsca do założenia sobie gniazd. Miejski Urząd mieszkaniowy losem bocianów się nie zajmuje, one same muszą się starać o siebie i, kto wie, czy nie wychodzą na tem lepiej. Znana energia naszych władz autonomicznych każe się spodziewać, że kwatery dla bocianów znalazłyby się, lecz nie wcześniej, jak we wrześniu, to jest wtedy, gdy one nas już żegnają. W każdym razie to krążenie bocianów nad miastem, uważać należy za dobry znak, z drugiej jednak strony i za zapowiedź nowych kłopotów i zmartwień, w miarę bowiem zwiększania się liczby ludności w mieście pogorszą się jeszcze bardziej i tak już opłakane warunki mieszkaniowe. Powiada przysłowie, że „niema złego, aby na dobre nie wyszło", prawdopodobnie sprawdzi się też ono i w tym wypadku, krakowski magistrat bowiem, przewidując zwiększenie się agend w Biurze statystycznem i mieszkaniowem, pomnoży odpowiednio liczbę pracowników, a pan dyrektor, korzystając ze sposobności zarządzi nowe przegrupowanie biur, aby urzędnikom się nie przykrzyło, a interesanci z trudnością mogli się oryentować w magistrackiej geografii i tak już bardzo zawiłej.

Przybycie do nas bocianów jest najpewniejszym znakiem, że mamy już wiosnę w całej pełni, a choć czasem śnieg prószy, to jedynie z tego powodu, iż niebieski Urząd meteorologiczny pozbywa się jego resztek, aby, jako zupełnie już niepotrzebne, nie zajmowały miejsca w magazynach. Śnieg kwietniowy podobny jest zresztą do łzy kobiety, znika przy pierwszem pojawieniu się promieni słonecznych i Zarząd czyszczenia miasta niewiele ma z nim kłopotu, zanim się bowiem zdecyduje zgarnąć go w kupki, już po nim.

Dzień 1. kwietnia przeszedł zupełnie spokojnie, prawdopodobnie dlatego, iż ludzie, urządzając sobie kawały jak rok długi, na *Prima Aprilis* traktują wszystko seryo. Niektórzy z Czytelników uwierzyli zatem, że nasi masarze i rzeźnicy nie mają bynajmniej zamiaru podniesienia cen przed świętami, jak o tem doniósł *Kuryerek*, dodając, że jest to wiadomość primaaprilisowa. Do świąt mamy jeszcze cały tydzień, w tym czasie ceny mięsa i tłuszczów mogą podskoczyć i to nawet nie raz, kto się zatem nie zaopatrzył dotąd w świąteczne przysmaki, niech będzie przygotowany na zwyżkę, ewentualnie niech się bez nich obejdzie, zwłaszcza, że z powodu ich braku nikt dotąd jeszcze nie umarł.



niczych. Po akcie poświęcenia podejmowała Spółka zaproszonych gości przyjęciem, w czasie którego przemawiali prezes Wład. Meresiński, inż. Dudek, radca Ostrowski, wiceprezydent Wielgus, prof. Krzyżanowski, prof. Pachoński, dr. Berski i inni.



W czwartą rocznicę: Pomnik poświęcony pamięci ofiar bombardowania Paryża w r. 1918, odsłonięty w kościele św. Gerwazego.

Zbliżenie polsko-jugosłowiańskie.

Vilim Frančić, rodem z Daruvar, (Jugosławia), wychowanek Uniwersytetu Jagiellońskiego, krytyk i publicysta jugosłowiański, rozwinął w ostatnim szczególnie czasie silną propagandę jugosłowiańską w Polsce, organizując szereg odczytów o współczesnej twórczości plemienia SHS w Krakowie, Lwowie i Warszawie.

Pracując od kilku lat nad zbliżeniem Polaków do Jugosłowian, działa na polu publicystycznem, zdając sprawę w codziennej prasie polskiej („Nowa Reforma", lwowska „Gazeta Wieczorna", „Kuryer lwowski" i inne pisma tak krakowskie, jak i warszawskie) o poszczególnych przejawach życia kulturalno artystycznego Serbów, Chorwatów i Słoweńców. Tłomaczy i publikuje najnowsze utwory „Młodej Jugosławii" w pismach polskich. Z dzieł naukowych p. Frančića wymienić należy jego pracę doktorską „Pieśni serbskie o Kosowem polu i ich dzieje w Polsce" oraz „Południowa Słowiańszczyzna w powieściach T. T. Jeża". Jego „Antologia noweli jugosłowiańskiej" znajduje się w druku i ukaże się w najbliższej przyszłości. Obecnie pracuje Frančić nad „Antologią poezyi polskiej", którą zamierza wydać przy pomocy poetów SHS w języku serbo-chorwackim oraz nad „Antologią poezyi jugosłowiańskiej", którą w języku polskim przygotowuje do wydania wespół z literatami polskimi.

W ostatnich dniach założył p. Frančić klub jugosłowiański w Krakowie, „Slovenski Jug" którego zadaniem jest praca nad wzajemnem poznaniem Polaków i Jugosłowian.

W uroczystościach jubileuszowych St. Przybyszewskiego w Krakowie brał on udział imieniem teatrów rządowych „Narodno Kazalište" w Zagrzebiu i jako jego delegat wręczył jubilatowi wieniec w imieniu jugosłowiańskiej sztuki dramatycznej. W tym samym charakterze występował podczas premiery „O skibę", dramatu chorwackiego autora, Josipa Kosora, wystawionego przez Teatr Wielki we Lwowie. W prasie jugosłowiańskiej zdaje sprawę p. Frančić o polskim ruchu artystyczno literackim oraz nowościach wydawniczych i publicystycznych.

Dotychczasowa działalność p. Frančića na terenie krakowskim wydała już spodziewane owoce, doprowadzając do ścisłego duchowego zespolenia się obu narodów, tak od siebie oddalonych, a przecież sobie tak blizkich i tak się wzajemnie dobrze rozumiejących. Jedność słowiańska, pojmowana w najszczytniejszem tego słowa znaczeniu, a nie wedle zasad głoszonych niegdyś z Petersburga, stać się musi w Europie bardzo ważnym czynnikiem politycznym i zapewnić ludom słowiańskim należne im miejsce w europejskim koncercie.

Święto na lwowskiej scenie.

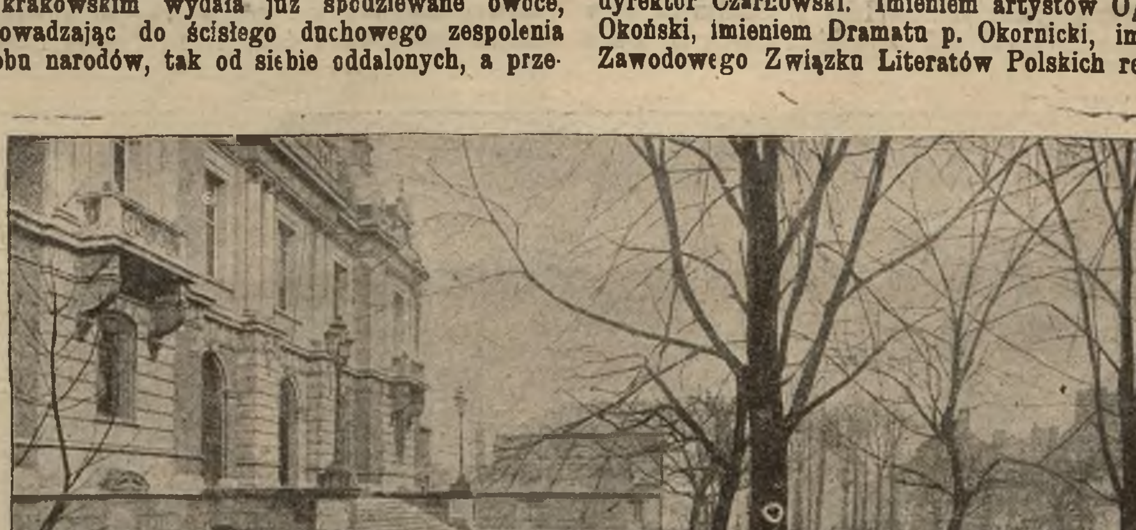
Scena Teatru Wielkiego we Lwowie była w dniu 25 marca b. r. widownią pięknej uroczystości, urządzonej celem uczczenia trzydziestolecia artystycznej pracy ulubienicy Lwowa, p. Ireny Trapszo. Hołd artystce oddał Lwów, z nim zjednoczyła się cała Polska, że wszystkich bowiem stron kraju nadeszły pod adresem Jubilatki gratulacyjne depesze, świad-



Zgon ex-cesarza Karola: Karol I., były cesarz Austryi i król Węgier, zmarły w Funchal na Madeirze w dniu 1 kwietnia b. r.

czące o uznaniu i sympatyi, jakie potrafiła sobie zdobyć wśród szerokich sfer.

Uroczystość wypadła wspaniale. Teatr był wypełniony do ostatniego miejsca. Przybyli licznie najwybitniejsi przedstawiciele miejscowych kół towarzyskich, władz rządowych, samorządu, instytucyi oświatowych i artystycznych. Wystawiono „Naszych najserdeczniejszych" Sardou'a z Jubilatką w głównej roli. Z chwilą zjawienia się jej na scenie publiczność powitała ją burzliwymi oklaskami, a po pierwszym akcie urządzono jej uroczystą owacyę. Cała scena, na której zgromadził się personal teatrów miejskich z dyrektorem oraz delegacyami zrzeszeń artystycznych na czele, wypełniona była koszami kwiatów. Imieniem teatrów przemówił serdecznie do Jubilatki dyrektor Czarnowski. Imieniem artystów Opery p. Okoński, imieniem Dramatu p. Okornicki, imieniem Zawodowego Związku Literatów Polskich redaktor



W czwartą rocznicę: Ratusz w Doullens, w którego pierwszopiętrowych salach postanowiono w r. 1918 oddać komendę nad armiami sprzymierzonemi w ręce marszałka Focha.

Jampolski, imieniem Lwowskiej Szkoły Dramatycznej p. Frączkowski oraz imieniem uczenic p. Trapszo, p. Zukotyńska. Prócz mnóstwa darów ofiarowano artystce srebrny wieniec od filii lwowskiej Związku Artystów scenicznych oraz również wieniec srebrny od delegacyi artystów sceny ukraińskiej. Pozatem ofiarowano Jubilatce cały dochód brutto z przedstawienia. U nóg Jubilatki leżały stosy wieńców, kwiatów, a ona sama dziękowała wszystkim z tą wzruszającą prostotą, z tym wdziękiem, jej tylko właściwym. Sekretarz Schröder odczytał stosy depesz gratulacyjnych pod adresem Jubilatki, wysłanych



Pod sztandary narodowe: Grupa popisowych Alzatczyków, spieszących do służby w szeregach francuskich.

z całej Polski, oraz list istotnie piękny wiceprezydenta Chlamtacza. Depesze dyr. Siemaszkowej, dyr. Hellera, „zbagatelizowanych" kolegów teatru „Bagatela" w Krakowie dawnej sceny lwowskiej, jak: Wernicz, Sznage, Dobrzańscy, Nowacki, Fritsche, witane były oklaskami. Wielką podniosłą chwilę przeżył teatr i publiczność.

Wiec rękodzielników we Lwowie.

Nasi rękodzielnicy i przemysłowcy dają coraz więcej dowodów, jak żywo interesują ich sprawy zawodowe, mające na celu podniesienie stanu naszego rękodzieła do tego poziomu, aby mogło ono skutecznie rywalizować z zagranicą.

Dnia 25 marca b. r. odbył się we Lwowie wiec rękodzielniczy, zwołany przez Prezydyum Izby Rękodzielniczej lwowskiej przy współudziale wybitnych jednostek przemysłu i rękodzieła. Zainteresowanie było wielkie, czego najlepszym dowodem liczny udział sfer interesujących się losami przemysłu i rękodzieła. Między obecnymi można było zauważyć pp. posłów: Głąbińskiego, Adama, hr. Skarbka, przedstawiciela województwa lwowskiego p. Hoffmana, inspektora pracy p. Nawratila, instruktora przemysłowego p. Zintla, przedstawicieli Izby handlowej i przemysłowej p. dra Trawińskiego i dra Wachtla, przedstawicieli Kas chorych i Zakładu ubezpieczeń od wypadków i innych instytucyi społecznych.

Po zagajeniu wiecu przez prezydenta miasta Lwowa p. Neumana i po przywitaniu gości i delegatów z Kołomyi, Stanisławowa, Brodów, Złoczowa, Tarnopola, Przemyśla, Drohobycza i innych miasteczek, przez prezesa Izby p. Schirmera, przystąpiono do obrad nad porządkiem dziennym, a mianowicie nad referatem p. Ilasiewicza w sprawie Kas chorych, p. Cirina w sprawie ustawy ubezpieczeń od wypadków, p. Gstritza w sprawie ustawy względnie projektu ustawy przemysłowej i kredytów ulgowych. Po wyczerpującej dyskusyi nad tymi referatami, w której żywy udział brali posłowie i delegaci, uchwalono jednomyślnie jak najenergiczniej domagać się swych praw i wysłać w sprawach poruszonych memoryały do odnośnych czynników.

Po wyczerpaniu porządku dziennego obradowano nad memoryałami przedłożonymi przez delegatów Kołomyi w sprawie taryf kolejowych.

Po informacyi w sprawie mieszkaniówej i zamiaru zniesienia Instytutu technologicznego przy Izbie handlowej i przemysłowej, w której to sprawie Prezydyum Izby Rękodzielniczej oznajmiło swe stanowisko, prezes p. Schirmer zamknął posiedzenie, dziękując licznie przybyłym na wiec.

Zgon ex-cesarza Karola.

Z Funchal na Madeirze nadeszła zupełnie nieoczekiwana wiadomość o śmierci byłego cesarza Austryi, Karola, który zmarł tamże skutkiem zapalenia płuc, będącego następstwem grypy.

Karol Franciszek Józef, syn arcyksięcia Ottona i arcyksiężnej Maryi Józefy, urodzony 17 sierpnia 1887, objął w czasie wojny światowej w listopadzie 1916, po zgonie Franciszka Józefa rządy Austro-Węgier, prowadząc w dalszym ciągu politykę swego poprzednika, polegającą na ścisłym związku z Niemcami, co ostatecznie doprowadziło do katastrofy. Po utracie tronu przebywał z rodziną jakiś czas w Szwajcaryi, następnie internowany w Funchal na Madeirze, tam dokonał swego żywota.

O ostatnich tygodniach jego pobytu na wygnaniu podaje bliższe szczegóły jedna z dam dworu byłej cesarzowej Zyty, która w liście swym, datowanym w lutym b. r., a wystosowanym do pewnego dygnitarza wiedeńskiego, pisze, co następuje:

„Kochany baronie!

Rozrzewniający był to widok, gdy cesarzowa wylądowała wraz w dziećmi w Funchal. Mimo wielkiej ilości widzów nie mógł się cesarz wstrzymać od łez na widok dzieci; każde z osobna brał w ramiona, ściskał i całował serdecznie. Cesarzowa, zmęczona podróżą była blada i nerwowa, na twarzy jej zaś malowało się zadowolenie, że wreszcie po przejściach w sanatoryum zurychskiem użyje przy mężu odpoczynku i spokoju.

Karol, od czasu gdy nas opuszczał w Hertenstein t. j. od 20 października, zmizerniał. Przykro patrzeć, gdy chodzi po ogrodzie naszego domu, niby zwierzę szlachetne, zamknięte w niewoli — jak patrzy z tęsknotą w stronę Europy, gdy zbliżają się okręty. A jednak jest spokojny i cierpliwy.

Ja zastępuję obecnie hrabinę Korff Kersenbrock, która pozostała jeszcze przy chorym arcyksięciu Robercie w Zurychu i opiekuję się dziećmi, mając do pomocy jedną siostrę i jedną służącą. Dawniej przeznaczonych do tego było siedm osób, dziś robię ja wszystko. Obecnie myślę o tem, aby cesarzowa miała w czasie rozwiązania, które spodziewane jest w maju, odpowiednią opiekę. Pani Kral z Wiednia, która zawsze w takich wypadkach była przy cesarzowej napewno nie przyjedzie, jak również nie można się spodziewać dr. Deluga ani prof. Pehama, bo u nas pieniędzy brak, a na własny koszt, ani akuszerka, ani lekarze przyjechać nie zechcą.

Willę „Wictoria" musieliśmy opuścić, bo nie było czem płacić czynszu. Teraz mieszkamy w domu jakiegoś portugalczyka, wysoko, na górze. Niema tu ani jednego szczelnie zamykającego się okna, ani jednych przyzwoitych drzwi. Od Funchalu oddaleni jesteśmy o trzy godziny drogi (Quinta do Monte de Sur, Rocha Machata). Mieszkań urządzić nie można z powodu braku potrzebnych mebli. Cesarz i cesarzowa śpią w jednym pokoju, w którym oprócz łóżek znajduje pomieszczenie umywalnia. — Drzewa niema, — węgla niema — coś strasznego! — Zapędzono nas tutaj, a troskę o utrzymanie przekazano Bogu.

List mój jest równocześnie prośbą, aby pan zechciał przysłać tu kogoś, ktoby zaprowadził porządek. Cesarstwo są niezaradni, a na prowadzeniu gospodarstwa domowego nie znają się zupełnie. Nie mamy tu nikogo, a jedyną męską istotą, to były szofer.

Za trzy miesiące będziemy musieli wyprowadzić się stąd. Lecz dokąd? Niczego tu dostać nie można,



Zgon cenionego niegdyś śpiewaka: Śp. Aleksander Myszuga, były tenor liryczny opery warszawskiej i lwowskiej.

a to co jest, jest strasznie drogie; wszędzie żądają łapówek, nawet detektyw, który nas pilnuje, też dopomina się o pieniądze.

Pomóż nam pan, bo cesarz żalić się nie umie. Serdeczne pozdrowienia... i t. d."

Pod sztandary narodowe.

Patrząc na zamieszczoną obok rycinę, przedstawiającą popisowych z Alzacyi, spieszących w szeregi armii narodowej przy dźwiękach muzyki i ozdobionych kokardami i kwiatami, mimowoli porównujemy ten moment z chwilami nie tak dawnych cza-





Pomoc Francyi dla głodujących dzieci rosyjskich: 1) Wydawanie chleba i zupy dla głodującej ludności gubernii saratowskiej. 2) W kuchni komitetu ratunkowego francuskiego w gubernii saratowskiej.

sew, bo zaledwie przed ośmiu laty, gdy ziemia ta jęczała w niewoli niemieckiej. I wówczas odbywały się tam asenterunki, które dziś w kulturalnym i do stałego pokoju dążącym świecie są złem nieuniknionem, popisowi do odbycia swej powinności wojskowej zgłaszali się przecież w zupełnie innem usposobieniu, uważając czas, spędzony pod pruskimi sztandarami za dopust Boży i karę za winy, jeśli nie swoje, to przodków. W miastach alzackich w dni asenterunku rojno i gwarno, ulicami przeciągają gromady popisowych ze śpiewem i muzyką, okazując w ten sposób swą radość ze spełnienia swego obywatelskiego obowiązku, przechodnie zaś, widząc tych zuchów, nabierają otuchy, że obrona granic państwa dostała się w odpowiednie ręce i spokojowi publicznemu nic nie zagraża.

Zgon cenionego niegdyś śpiewaka.

W ostatnich dniach ubiegłego miesiąca zmarł we Fryburgu, po dokonanej operacyi raka, znany



Z teatru: P. Stępniowski jako Manrico w „Trubadurze" Verdi'ego. Fot art. „Studio".

u nas niegdyś i ceniony śpiewak operowy, Aleksander Myszuga. Rusin z pochodzenia, był on prawdziwą ozdobą polskich scen, a jego wspaniały tenor liryczny zyskał mu szerokie koła wielbicieli tak w kraju, jak i za granicą, gdzie również z wielkim powodzeniem występował gościnnie. Słyszeliśmy go kilkakrotnie także i w Krakowie podczas sezonu letniego, w którym do nas stale zjeżdżała lwowska opera i operetka. Szczególniejsze laury zbierał Myszuga w roli Jontka w „Halce", Stefana w „Strasznym dworze", Don Josego w „Carmenie", Alfreda w „Traviacie", księcia w „Balu maskowym", pozatem w całym szeregu innych kreacyi, budząc stale ogólny zachwyt siłą, czystością i liryzmem swego głosu oraz prawdziwie mistrzowską grą.

Sp. Myszuga miał początkowo zamiar poświęcić się zawodowi nauczycielskiemu, kształcił się też w tym kierunku w lwowskiem seminaryum. Gdy na głos jego zwrócono uwagę, rozpoczął studya wokalne najpierw we Lwowie w zaszczytnie znanej Szkole śpiewu Alfreda Wysockiego, następnie zaś w Medyolanie, skąd powrócił do kraju jako śpiewak o światowej sławie. Na deskach lwowskiej opery występował przez kilka sezonów za dyrekcyi Dobrzańskiego, a następnie Hellera, dając się również słyszeć i na koncertach, tak polskich, jak i ruskich, na czas występów w teatrach rządowych warszawskich przypada okres jego największej sławy i wziętości. Ogromnem powodzeniem cieszyły się także jego występy w Pradze i Zagrzebiu.

Gdy w procesie artystki Wisnowskiej nie chciał złożyć przysięgi w języku rosyjskim, zmuszony był opuścić scenę warszawską, udając się do Lwowa, gdzie w czasie swego pobytu wszedł w konflikt z władzami. Mianowicie pewnego dnia egzekutor sądowy zjawił się w jego mieszkaniu, celem przeprowadzenia egzekucyi i kieszonkowej rewizyi. Myszuga do wykonania tej czynności nie dopuścił, egzekutora pobił, a dobywszy rewolweru, nawet strzelił na postrach. Z obawy przed uwięzieniem go za to, jeszcze tego samego dnia opuścił Lwów, wrócił do Warszawy, gdzie osiadł, a po zaniechaniu występów, otworzył szkołę śpiewu.

Przed samym wybuchem wojny wyjechał do Włoch i już więcej do kraju nie wrócił. Zmarł w sześćdziesiątym dziewiątym roku życia.

W czwartą rocznicę.

Na koniec marca przypadła czwarta rocznica dwu wydarzeń, mających wielkie znaczenie na przebieg, a zatem i wynik wojny światowej. Obie te rocznice przypominają pamięci pisma francuskie, porównując ówczesny i obecny nastrój, tak się od siebie różniące. Lat temu cztery wstecz groziła Francyi ostateczna zagłada z ręki nieubłaganego wroga, który postanowił, jak zawodowy szuler, postawić wszystko na ostatnią kartę i, choćby przy użyciu środków, nie licujących bynajmniej z cywilizacyą XX wieku, ugodzić Francyę w samo serce. W dniu 29. marca 1918. posypał się na stolicę Francyi grad niemieckich pocisków, wymierzonych z ukrycia, a ofiarą ich padł cały szereg ludzkich egzystencyi. Cios ten, obliczony na złamanie ducha we Francuzach i zniechęcenie ich do dalszego oporu, nie osiągnął jednak zamierzonego celu, przeciwnie, obudził chęć jak najrychlejszego odwetu, nie tylko za obecną barbarzyńską gospodarkę na obszarze Francyi, gdzie pozostawiono po sobie tylko ruiny i zgliszcza, ale i za rok 1871., którego pamięć żywo tkwi jeszcze w sercach całego narodu.

Ale inaczej widocznie zapisanem było w księgach Przeznaczenia, nie tak, jak postanowiła germańska buta, uważająca już za swoje panowanie nad całym światem. Oto w dniu 26 marca 1918. doszło do skutku porozumienie pomiędzy operującemi dotychczas każda na swoją rękę armiami, francuską i angielską i oddanie ich pod komendę marszałka Focha. Krok ten zadecydował o dalszych losach wojny, którą Niemcy uważali już za wygraną, z tą chwilą szczęście odwróciło się od nich, zbliżała się zemsta za Sedan.

Z okazyi tej podwójnej rocznicy odsłonięto w Paryżu w kościele św Gerwazego pomnik ku uczczeniu ofiar z dnia 29 marca 1918, równocześnie prasa wspomniała o zjeździe w Doullens, gdzie w dniu 26. marca 1918. w gmachu tamtejszego ratusza ustalono jednolitość komendy nad sprzymierzonemi armiami.

Pomoc Francyi dla głodujących dzieci rosyjskich.

O położeniu, w jakiem się znajduje obecnie Rosya sowiecka dzięki gospodarce komunistów i następstwom długoletniej wojny, wspominaliśmy już kilkakrotnie na łamach naszego pisma, podając ryciny, malujące dosadnie stosunki w tych najbogatszych niegdyś okolicach, uważanych zupełnie słusznie za śpichlerz Rosyi.

Głos ludu rosyjskiego, wołającego o pomoc, rozszedł się głośnem echem po całym świecie, budząc wszędzie współczucie dla tych nieszczęśliwych ofiar. Pospieszono im ze wszystkich stron z wydatną pomocą, która jednak napotkała na liczne trudności ze strony rządu bolszewickiego, niechętnie patrzącego na to, że wysuwa mu się dobry interes z rąk, obce bowiem komitety ratunkowe, nauczone przykrem doświadczeniem, o tyle obiecały współdziałać przy ratowaniu głodujących, o ile rozdział pomocy pozostanie w ich rękach. A to właśnie nie podobało się bolszewikom, wychodzącym z założenia, że Rosyi pomoc się należy, zupełnie jednak wystarczy, jeśli dostawi się ją do jej granic, a oni już postarają się o to, aby nie poszło na marne, to jest, aby zarobili na tem rozdzielający ją, a rząd cudzym kosztem znalazł dzielny środek agitacyjny dla swych teoryi.

Z TEATRÓW.

Miejski teatr: Opera i operetka. (Półrocze istnienia opery. *Trubadur*, opera w 4 aktach a w 8 obrazach J. Verdi'ego.)

Że nie warto bawić się w proroka, o tem można się coraz częściej przekonać... Proroctwa w ostatnich czasach okazały się zgoła zbyteczne i zawodzące... Pomylił się przedewszystkiem Wilhelm, kiedy zapowiedział przed pierwszą jesienią wojny, bohaterski i tryumfalny powrót żołnierzy do swoich domów, pomylili się ci, którzy zapowiedzieli, że z chwilą uchwalenia daniny wszystko potanieje, zawiedli się także i ci, który pół roku temu przepowiedzieli krakowskiej operze czarną przyszłość i lekkie po paru tygodniach żywota skonanie... Jakby na złość tym bystrym przewidywaniom i głębokim intuicyom, opera w Krakowie jest, żyje i, nie tylko, że nie kwili żałośnie, lecz owszem rozwija się coraz lepiej i śmielej...

Cierpi na chorobę zasadniczo jedną: na małą ciasną scenę, na nieodpowiedni budynek. W ślad za ciasnotą i „zamorusaniem" sceny idą futurystyczne w kolorach dekoracye, a czasem i kostyumy. Pozatem wszystko ma się ku lepszemu od orkiestry począwszy, a na doborze solistów skończywszy... Od nich, od tych solistów, zależy przedewszystkiem dobór, porządek i czas wystawionych oper. Za słaby na razie jest Kraków, aby mieć zaangażowanych na stałe aż kilku tenorów, paru barytonów, basów, sopranów itp. Na ten zbytek jeszcze pozwolić sobie nie może, mimo, iż to rzecz pierwszorzędnej wagi.

Przy innej sposobności omówimy bilans za pierwsze pół roku istnienia Miejskiej opery i operetki; dziś zaznaczamy, że obecnie grany „Trubadur" jest dwunastą z rzędu operą, jaką Kraków słyszy w przeciągu sześciu miesięcy. Jeśli się zważy, z jakim wysiłkiem u nas powyższe przedsiębiorstwo „montowano", jeśli uprzytomni sobie, że występujący i grający (tak na scenie, jakoteż w orkiestrze) w znacznej części są zajęci gdzieindziej na zgoła innych posadach, to bezwarunkowo uznanie się tym ludziom należy szczere i rzetelne, za to, co dają i jak dają.

Uznanie też należy się za wystawienie „Trubadura". Melodyjna ta opera, arcymiła i arcypożądana dla ogółu publiczności z powodu bardzo dźwięcznej



Z teatru: P. Stępniowski jako Manrico w „Trubadurze" Verdi'ego Fot art. „Studio".

i lekko strawnej muzyki wabi do siebie i pociąga stale tłumy słuchaczy... U nas dobrze ją wyreżyserował p. Kniaginin, a pan Walewski prowadzi tak „anielsko", że nawet zauważone usterki gdzieś giną i podziewają się zawstydzone na skinienie jego batuty.

W „Trubadurze" obecnie po gościnnych występach p. Narożnego i Hoffmanowej śpiewają p. Kniginin i Jefimcewa, samego zaś trubadura Manrica p. Stępniowski — jedyny „stały" tenor krakowskiej opery, zaliczający powyższą partyę niemal że do najlepszych (o „Pajacach" pamiętamy!). Na szczere uznanie zasługuje również p. Mazanek (Fernando) i p. Zbigniewiczówna (Arucena).

Sądzę, że o los miejskiej opery i operetki można być spokojnym. To pierwsze półrocze istnienia świadczy dowodnie, że dyrekcya dba o coraz wyższy poziom tak oper jakoteż i operetek. Wystarczy z tych ostatnich wspomnieć „Amora w śniegu", wystarczy przypatrzeć się dotychczasowemu repertuarowi oper i ich wykonawcom, aby mieć jak najbardziej różowe wejrzenie na przyszłość. Praca tam kipi — a dowodem niechaj będzie fakt, że z chwilą, gdy piszę te słowa — już „idzie" nowa opera: „Żydówka".

b—t

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę PT. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył K. Romanowski, Warszawa.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy czytany z góry na dół, utworzy dwa wyrazy często w tym okresie powtarzane.

```
    ■
  – ■ –
– – ■ – –
– – ■ – –
– – ■ – –
– – ■ – –
– – ■ – –
– – ■ – –
– – ■ – –
– – ■ – –
  – ■ –
    ■
```

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2 Okres czasu, 3. Rodzaj gleby, 4 Imię męskie, 5. Część budynku, 6 Rodzaj zabezpieczenia, 7. Roślina ogrodowa służąca jako przyprawa, 8. Pismo św. u Turków, 9 Drzewo owocowe, 10 Znany tłuszcz, 11. Znany ptak, 12. Spółgłoska.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył L. Policzyński, Rembertów.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, utworzą dwa wyrazy, do których winien się obecnie zastosować każdy obywatel polski.

— a r a
— g a r
— a r a
— d a m
— a m a
— r o n
— u r a
— u z a
— o r k
— r a n
— e w a
— a t a
— m o r
— i r a
— k a r
— a m a
— d r a
— e w a

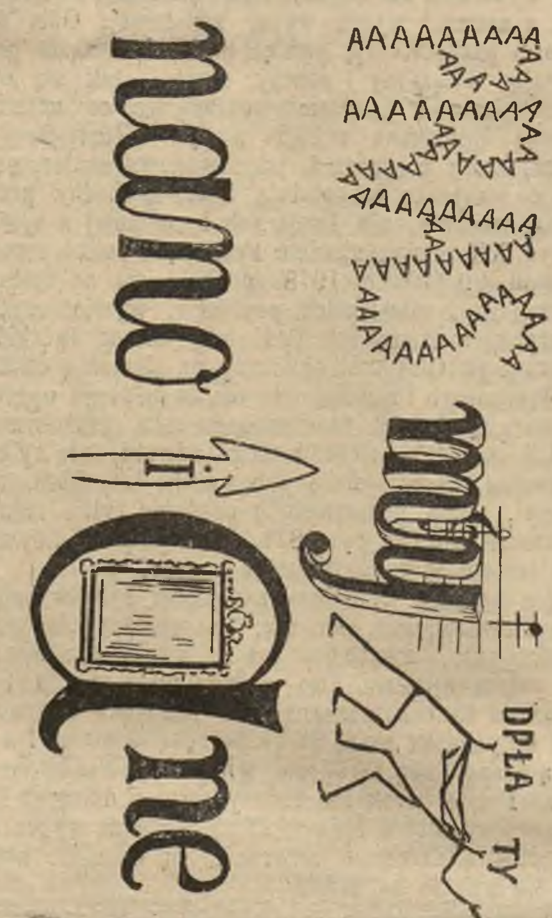
Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył A. J. Kraków.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery wstawione w miejsce kresek czytane z góry na dół, utworzą nazwę pewnego okresu roku.

— ola
— dzi
— zaw
— ena
— adi
— pek
— ara
— zór
— ago
— uła

REBUS:



Okienko.

Ułożył W. Stop, Sosnowiec.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy równobrzmiące w kierunku poziomym i pionowym:

```
a a a a a
a   e   e
l l m m m
n   p   r
r s s u u
```

Znaczenie wyrazów: 1. Popularna w obecnym czasie roślina, 2. Dawne wyrażenie: skład lub magazyn, 3. Pierwiastek.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) Przecław Smolik „Przez lądy i oceany“; 2) Kalendarz biurkowy na rok 1922.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 11.

Logogryf: W, lis, Kreta, Halka, Mekka, glina, koper, Brody, osa, t.

Zgłoskówka: Saragossa.

Okienko. Ratti, tyara, irade.

Grzebieniówka: Doża, z, Idzi, a, toga, w, Aron, p, opal, l, Soła, k, azot.

Zgłoskówka. Konstantynopol.

Dobre rozwiązania nadesłali p. p.: T. Scholz, Biała, J. Wierzbicki Piotrków, M. Michalczyk Poznań, S. Kowalski Warszawa, W. Rozwadowski Kraków, H. Walewska Jasło, M. Więckowski Warszawa, H. Galińska Tarnów, J. Martynowicz Lwów, Z. Sokolnicka Warszawa, B. Szypulska Wieliczka, W. Nowotarska Jarosław, J Cercha Miechów, W. Ostrowski Płock, M. Kubicówna Kraków. S. Zakrzewski Sandomierz, H. Boratyńska Poznań, M. Planecka Kraków, S. Grabowski Wadowice, M. Stachowicz Kraków, P. Lachmanówna Lwów, K. Dębicki Sambor, S. Kozik Piotrków, M. Drohocki Warszawa, J. Benedyktowicz Kraków, H. Rakowiecka Warszawa, M. Skórkowa Kraków, L. Moniszewski Warszawa, J. Kalinowski Poznań, S. Węgrzyn Kraków, S. Górska Warszawa, W. Śmiszkiewicz Milówka, W. Komperdowa Lwów, H. Malinowski Warszawa, J. Walczewska Lwów, K. Oślisło Włocławek, M. Motylewski Kutno, S. Stachurski Wieczbnik, M. Kicibiński Płock.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) M. Kicibiński Płock (książka); 2) T. Scholz Biała (kalendarz). — Upraszamy o nadesłanie należytości na koszta poleconej przesyłki nagrody w kwocie 25 mk.

Właściciele wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego